



WIDNOKRĄC

UKAZUJE SIĘ
Z „NOWINAMI
RZESZOWSKIMI”
Nr 51 (324)
17 grudnia 1967 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Jan Grygiel

O MECENACIE RAZ JESZCZE

Czy plastyka jest u nas popularną gałęzią sztuki? Związki plastyka współczesna, nowoczesne malarstwo, grafika czy rzeźba?... Z całą pewnością nie i to z wielu przyczyn. Niewielu ludzi przychodzi na wystawy sztuki współczesnej, mało kto kupuje dziś obrazy, w wielu środowiskach króluje jeszcze tandeta i szmira — symbolizująca drobnomieszczański smak artystyczny. Oczywiście trzeba również dodać, że kontakt współczesnej plastyki ze społeczeństwem jest utrudniony, ze względu na małą komunikatywność dzieł dla odbiorcy nieprzygotowanego, przywykłego do XIX-wiecznych konwencji artystycznych. I także nie należy zapominać, że niekiedy twórcy zbyt daleko odchodzą od świata doświadczeń i doznań przeciętnego człowieka, by znaleźć w szerokich kręgach społecznych pełne zrozumienie i aprobatę. Ilekolwiek można by tu wymienić przyczyn (a chyba jeszcze sporo) niedostatecznej więzi współczesnej sztuki ze społeczeństwem, to oczywista się staje potrzeba działalności upowszechniającej i popularyzującej plastykę, a także potrzeba społecznego mecenatu nad twórcami, opieki i pomocy dla nich, umożliwiającej swobodną działalność artystyczną.

Wielką zasługą naszych związków zawodowych jest to, iż podjęły się one tej roli i spełniają ją z pożytkiem dla obu zainteresowanych stron — twórcy i odbiorcy. Kilka lat temu Związek Polskich Artystów Plastyków zawarł umowę z Centralną Radą Związków Zawodowych określającą warunki patronatu nad plastyką współczesną. Przewidziano w niej m. in. fundowanie stypendiów twórczym dla artystów przez związki branżowe lub zakłady pracy, organizowanie plenerów, wystaw, zakup obrazów i tworzenie z nich małych galerii zakładowych, czy wreszcie prowadzenie akcji odczytów, spotkań i wykładów z dziedziny sztuki. Umowa ta daje coraz lepsze wyniki, zamienia się w szeroką działalność pełną rozmachu i inicjatywę.

Przyglądnijmy się jej owocom na terenie naszego województwa. Tu kontrahentem Zarządu Okręgu ZPAP jest WKZZ. W ramach tej współpracy WKZZ zorganizowała dla plastyków 3 plenery w zakładach pracy i rejonach przemysłowych. W roku 1966 w Solinie, a w roku 1967 w Tarnobrzegu i Rzepedzi. Ponadto w październiku br. fabryka opon „Degum” w Dębicy z własnej inicjatywy i na własny koszt zaprosiła plastyków na kilkudniowy plener. Należy oczekiwać, iż inne duże zakłady pracy w województwie podejmą tę inicjatywę.

Po plenerach organizatorzy urządzają zwykle na miejscu wystawę prac uczestniczących w nich plastyków i dokonują zakupów. Fundusze na zakup prze-

znaczają zarówno WKZZ, jak poszczególne zakłady pracy. Np. wystawa po plenerze w dębickim „Degumie” odbędzie się jeszcze w brn. i zakład zamierza zakupić pewną ilość obrazów. Zresztą związki zawodowe kupują prace także i przy innych okazjach. M. in. WKZZ, która jest współorganizatorem ogólnopolskiej wystawy malarstwa „Jesienne konfrontacje” w Rzeszowie, przeznaczyła 14 tysięcy złotych na zakupy i 5 tysięcy zł na nagrodę przewodniczącego WKZZ. Także zakłady pracy, jak np. Zakłady Tworzyw Sztucznych w Pustkowie, Rafineria Nafty w Gorlicach czy wspomniany już „Degum” w Dębicy deklarują pewne fundusze na kupno dzieł. Nie są to jeszcze zbyt wielkie kwoty, ale mimo to WKZZ, branżowe związki zawodowe i zakłady pracy są obecnie najpoważniejszymi mecenasami plastyki.

Niektóre z dużych fabryk organizują u siebie własne galerie zakładowe współczesnego malarstwa. Istnieje już taka w Tarnobrzegu, ma zamiar urządzić podobną „Degum” w Dębicy. Można tu jeszcze dodać, iż plastycy uczestniczący w plenerach związkowych czy zakładowych zobowiązali się ofiarować po jednej pracy dla fundatorów pleneru.

Sądzę, iż ta forma współpracy rozwinie się szerzej, gdyż daje obu stronom korzyści. Związki zawodowe uzyskują popularyzację problematyki pracy socjalistycznej, wielkich inwestycji i budowy socjalizmu oraz życia klasy robotniczej w dziełach sztuki. Artysty otrzymują stypendia, możliwość bezpłatnego pobytu i pracy w rejonach przemysłowych na plenerach, zapewnienie zbytu swych płócien oraz upowszechnienie swej twórczości w społeczeństwie. Nie ma chyba dla twórcy bardziej nęcących perspektyw, jak nadzieja, iż jego prace będą rozświetlać ściany zakładowych domów kultury, klubów fabrycznych czy hal produkcyjnych. W dodatku, dzięki temu patronatowi poszerza się zakres doświadczeń życiowych twórcy i krąg jego świadomości społecznej i artystycznej.

Trzeba jednak zaznaczyć, iż patronat związków zawodowych nie jest równoznaczny z narzucaniem plastykom określonych metod twórczych, sposobu widzenia świata czy sprecyzowanych tematów. Stwierdzili to wyraźnie przedstawiciele zainteresowanych stron, z którymi rozmawiałem na ten temat — prezes Zarządu Okręgu ZPAP Jerzy Majewski oraz mgr Józef Woźniak — sekretarz d/s kultury WKZZ i Stanisław Gliwa, instruktor. Rzecz jasna, że stypendium czy udział w fundowanym plenerze skłaniają zainteresowania plastyka w pożądanym przez mecenasów kierunku, nie ograniczając wszakże jego indywidualności.

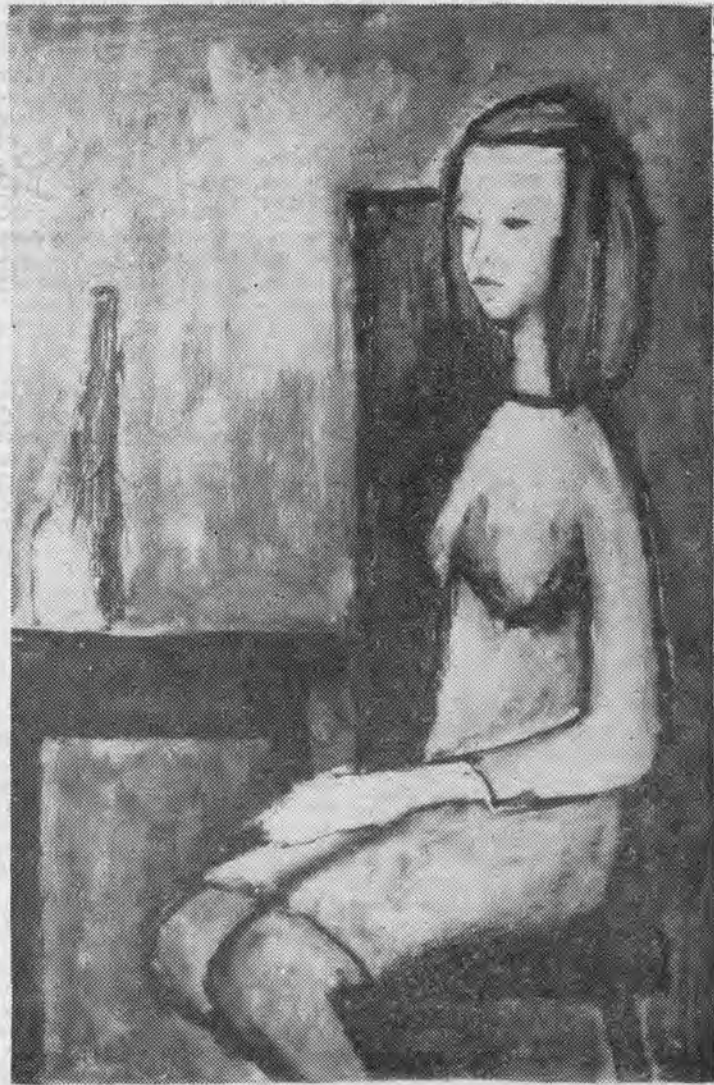
Jeśli więc nawet jest to jedna z form zamówienia społecznego,

nie stanowi ona zachęty do okolicznościowej ilustracyjności i laurkowego realizmu.

Sprawom upowszechnienia plastyki i popularyzacji twórczości całego środowiska lub poszczególnych twórców służy również umowa podpisana przez WKZZ z Biurem Wystaw Artystycznych. Na podstawie tej umowy BWA, poza swoim planem, dodatkowo, organizuje wystawy, spotkania i odczyty w placówkach kulturalnych lub instytucjach wskazanych przez związki zawodowe. Ta forma pracy na pewno przeciwdziała upodobaniom do landszaftów z jeleniem i płaczącymi brzoškami nad strugą.

Niemniej skutecznie opiekują się związki zawodowe twórczością amatorską i rozwijaniem uzdolnień plastycznych wśród dzieci i młodzieży. Już do tradycji weszło organizowanie okresowych konkursów i pokazów prac młodzieży i amatorów na określone tematy. Np. w roku 1966 ogłoszono konkurs dla dzieci pod hasłem „Mój kraj”, a w roku bieżącym dla amatorów, dzieci i młodzieży — na temat „Nasz sąsiad i przyjaciel, Związek Radziecki”. W ramach tego konkursu, po eliminacjach zakładowych i okręgowych organizowanych przez poszczególne związki branżowe, w wystawie wojewódzkiej pokazano 32 prace plastyków amatorów i 76 prac dzieci i młodzieży. Wiele z nich (wystawa jest obecnie czynna w Zakładowym Domu Kultury WSK w Rzeszowie) urzeka świeżością, żywą wyobraźnią i emocjonalnym stosunkiem do tematu. Nic dziwnego, że nagrodzono aż 12 prac amatorów i 25 — dziecięcych.

(Ciąg dalszy na str. 2)



Renata Niemirska-Pisarek „Portret dziewczyny” olej

TURYSTYKA I... KULT RELIGIJNY

(Korespondencja własna AR z Rzymu)

Za bramami wejściowymi bazyliki św. Piotra, w wielkim hallu, poprzez który przechodzi się do głównej nawy kościelnej, widnieją cztery okazałe marmurowe tablice, trwale wmurowane do ścian świątyni. Na tablicach złotymi zgłoskami wryto tekst bulli Piusa XI, na mocy której bazylika została obdarzona wyjątkowymi możliwościami w udzielaniu odpustów.

Tekst dokumentu papieskiego wyeksponowano w ośmiu językach, tzn. na każdej tablicy figurują dwa różnojęzyczne napisy. Dowodzi to, że intencją autora bulli było powiadomienie możliwie wszystkich wstępujących do bazyliki przybyszów z różnych stron świata o szczególnych łaskach, jakimi slynie centralna świątynia katolicka. Trzeba jeszcze dodać, że tablice umieszczone w jednakowych odstępach na miejscach widocznych dla każdego wiernego wchodzącego do bazyliki poprzez jedną z bram głównych. Tekst postanowienia papieskiego głosi, że każdy, kto w bazylice przystąpi do komunii i sześć razy zmówi modlitwę „Ojcze nasz”, uzyskuje odpust zupełny, który może być odnawiany w każdym dniu roku. Odwiedzającym bazylikę katolicką stworzono więc okazję do uwolnienia się od ciężaru popełnionych grzechów, z której — ta-

ką nadzieję żywił chyba Pius XI — korzystać będą skwapliwie i tłumnie.

Tymczasem bawiący w bazylice katolicy na wryty na tablicy tekst nie zwracają większej uwagi, a jeśli nawet przystają i odczytują, to i tak najczęściej nie wykonują czynności religijnych, do których spełnienia zachęca dokument papieski. W bazylice widzi się, że obecni w jej wnętrzu ludzie w przytłaczającej większości nie są zatopieni w modlitwie, lecz podobnie jak w muzeum zajęci oglądaniem dzieł sztuki. Jeśli komuś zależy na odpuszczeniu zupełnym może z łatwością przystąpić do komunii, bowiem w bazylice niemal bez przerwy celebrowane są msze przy bocznych ołtarzach. Z łatwością można również w bazylice wypowiedzieć się przed komunią, o każdej porze dnia i w dowolnym języku. Konfesonaliści z dyżurującymi spowiednikami jest dużo, a na każdym z nich widnieją napisy głoszące, że spowiedź przyjmuje się w takim lub innym języku. Niektórzy spowiednicy to prawdziwi poliglotti, wysłuchują bowiem spowiedzi w czterech, a nawet pięciu językach. Nie sądzmy jednak, że przed konfesonalami tworzą się kolejki. Widok najczęściej spotykany to obserwowany turystów lub zatopiony w

lekturze samotny spowiednik na próżno oczekujący wiernych, którzy by chcieli wyznać swe grzechy.

Nie trzeba większej spostrzegawczości, aby zauważyć, że w bazylice w godzinach — w których jest ona otwarta i dostępna dla zwiedzających — panuje nastroj zupełnie świecki. Ruch w tej największej i najokazalszej świątyni katolickiej jest zawsze duży, nieustannie przesuwają się jedna za drugą liczne wycieczki, pielgrzymki i grupy turystów, kierowane przez objaśniających historię bazyliki przewodników. W przypadkach większego zatłoczenia powstającego w tej lub innej części bazyliki wkraczają rośli strażnicy watykańscy, sprawnie regulują przepływ grup zwiedzających i przypominają im, że obowiązuje ruch prawostronny. Powiedzieliśmy, że nie ma kolejek przed konfesonalami, i dodajmy, że niewielka jest również frekwencja wiernych, wysłuchujących mszy odprawianych przy bocznych ołtarzach.

Długie kolejki formują się natomiast przy prowadzącym od wnętrza bazyliki wejściu do skarbcza watykańskiego i windy podwożącej wycieczki na taras

(Ciąg dalszy na str. 2)

O mecenacie raz jeszcze

(dokończenie ze str. 1)

Związki zawodowe branżowe co roku organizują podobne konkursy i pokazy plastyczne na określone tematy — czynią to również zakładowe domy kultury i kluby fabryczne. W kilku ZDK-ach (w Sarzynie, Głogowie, Tarnobrzegu, w Klubie Fabrycznym w Dębicy) działają dobrze kółka plastyczne przyciągające znaczną ilość młodzieży i dorosłych.

Jak z przytoczonych danych wynika, zasięg mecenatu związków zawodowych i zakładów pracy jest szeroki i ciągle wzrasta. W roku przyszłym projektuje się zorganizowanie pleneru ogólnopolskiego z pewnym programem w Tarnobrzegu lub na Podkarpaciu, wystawę wszystkich prac po dotychczasowych plenerach i wydanie obszernego katalogu. Odbędzie się również sympozjum działaczy związkowych, kulturalnych i artystów plastyków na temat roli artysty plastyka w środowisku robotniczym (sformułowanie robocze).

Czy to oznacza, że wszystko układa się jak najlepiej? Niestety, nie. Ciągłe jeszcze za mało pojawia się oryginalnych dzieł sztuki w związkowych i zakładowych placówkach kulturalnych, nawet w takich, które wydają na działalność setki tysięcy złotych. Zastępuje się je nie najlepszymi reprodukcjami lub fotogramami, pokazującymi sceny z działalności placówki, wykresami i zestawieniami repertuarowymi, pieczołowicie oprawionymi w bogate ramy. Takie zdjęcia i zestawienia winny raczej znaleźć się w teczkach z dokumentacją pracy ZDK; niewiele one interesują klientów placówki. Natomiast mała galeria oryginalnych prac z zakresu malarstwa i grafiki najlepiej oswoja odbiorcę ze sztuką współczesną i kształtuje jego gusty.

Warto by przekonać wszystkie większe zakłady pracy o pożytku płynącym z tworzenia własnych, choćby małych galerii obrazów na tematy związane z życiem i pracą środowisk robotniczych. Może to nie jest postulat na dziś, ale w przyszłości pięknie zarysowuje się wizja wielkiej fabryki jako centrum nie tylko życia gospodarczego miasta czy osiedla, lecz także kulturalnego, w pełnym tego słowa znaczeniu, z u-powszechnieniem kultury plastycznej włącznie.

Można by mieć sporo zastrzeżeń co do artystycznego poziomu wielu instruktorów prowadzących kółka plastyczne i kluby plastyków amatorów w domach kultury i zakładowych placówkach kulturalnych co do metod ich pracy. Często ich działalność wiedzie utalentowanych amatorów na manowce sztampy, banału i maniery. Można by wreszcie zapytać dlaczego, jeśli jest tak dobrze, jest tak źle. Dlaczego przy pełnej rozmachu akcji upowszechnienia malarstwa i grafiki w zakładach pracy, pojawiają się tam w gablotach, na tablicach ogłoszeń, w halach produkcyjnych często koszarne kicz i żenująco prymitywne bohomy, mające pełnić funkcję „propagandy wizualnej”? A wiadomo, że w takim wykonaniu wywierają odwrotny skutek, działając jako antypropaganda polityczna i niszcząc elementarne i często nieświadome poczucie dobrego smaku. Zwłaszcza że czasem koło jednego takiego „dziełka” przesuwają się codziennie kilka tysięcy ludzi przez okres kilku tygodni, a nawet miesięcy.

A więc nie warto spoczywać na laurach — sporo jeszcze można i trzeba zrobić, aby zniknęły cienie przesłaniające obraz

działalności związków zawodowych dla dobra sztuki. Ale przede wszystkim potrzebne jest wzajemne zrozumienie obu kontrahentów i dużo tolerancji. Jeśli artyście krajobraz przemysłowy ułoży się w wizję metaforyczną czy nawet nieco abstrakcyjną, nie powinno to zrażać mecenasów. Z drugiej strony artyści nie mogą traktować zaproszeń do fabryki czy kopalni jako zamachu na autonomiczność i niezależność sztuki. Ostateczną bowiem rację społecznej funkcji dzieła sztuki jest jego odzew u odbiorcy, którego do percepcji płótna czy rzeźby trzeba wpięrować przygotować. A któż to uczyni, jeśli artyści nie wyjrzą poza ściany swych pracowni?

Zawęziłem tutaj sprawę patronatu związków zawodowych do jednego środowiska twórczego. Wymagał tego cel artykułu. Ale wiadomo, że podobna umowa istnieje między CRZZ a środowiskiem literackim. Pisała o jej owocach C. Błońska w poprzednim numerze Widnokręgu w artykule: „Cień mecenatu nad literackim warszatem”. Festiwal Kulturalny Związków Zawodowych wykazał jak bardzo leży im na sercu artystyczny ruch amatorski ze wszystkich dziedzin. Można więc i trzeba mówić o mądrym mecenacie społecznym w naszej polityce kulturalnej, z uznaniem i z uwagą śledzić jego wyniki. I warto, by ten wzorzec działania podjęły w miarę swych możliwości inne organizacje społeczne.

Moravia i Pasolini

„Literaturna Gazieta” przynosi wywiady swego korespondenta z Alberto Moravią i Paolo Pasolinim. Na tradycyjne pytanie „Nad czym pan pracuje” odpowiada Alberto Moravia.

— Piszę powieść. Sądziłem, że mam już około 150 stron całkowicie gotowych do druku, ale wczoraj zacząłem pisać wszystko od nowa. Taki już jest nasz los.

— Jaka jest treść książki?

— Jest to właściwie powieść, w której w ogólnie przyjętym sensie nic się nie dzieje. Nie ma w niej nic niezwykłego. Dlatego trudno opowiedzieć jej treść. Czy zna pan nasze życie? Wstajemy rano, idziemy do pracy, pijemy kawę, jemy obiad, spotykamy się ze znajomymi i nieznanymi, potem człowiek kładzie się spać. A więc nic niezwykłego... Mój bohater często zastanawia się nad tym, co mu się zdarzyło i co może mu się zdarzyć za godzinę, dwie, jutro.

— Mówi się o kryzysie powieści. Co pan o tym sądzi?

— Nasz film — odpowiada Moravia — postawił powieść w ciężkiej sytuacji. Kino „opisuje” siedzibę wiejską lub przyrodę sto, lub tysiąc razy szybciej niż robi to Balzac. Należy liczyć się z psychologią współczesnego czytelnika. I jeszcze jedna sprawa. Powieść w ubiegłym wieku stanowiła jak gdyby encyklopedię świata mieszczańskiego, zawierała masę wiadomości z dziedziny psychologii. Spróbować ogarnąć dzisiejsze społeczeństwo to nie takie proste. W 1965 r. napisałem powieść „Uwaga”. Możliwe, że tam odzwierciedla się śmiertelna choroba współczesnej powieści. Jedno jest pewne — powieść w dawnym znaczeniu — długa, przeładowana obszernymi opisami — umarła.

— Jakie jest pana zdanie na temat powieści zapisanych na taśmie magnetofonowej?

— Bardzo mi się to podoba. Przecież dawniej powieści opowiadano. Czemu więc nie nagrywać powieści na taśmę magnetofonową i sprzedawać zamiast książek, albo obok książek? W każdym bądź razie nie należy temu przeszkadzać — technika zwycięży.

Na pytanie „Nad czym pan pracuje?” — odpowiada również Paolo Pasolini, pisarz i reżyser.

— Ukończyłem scenariusz nowego filmu „Twierdzenie”. Film opowiada historię zamożnej rodziny, która mieszka w Włoszech, ale równie dobrze mogłaby mieszkać w Ameryce lub Francji. Jest to film przeciwko moralności burżuazyjnej, przeciwko burżuazji. Dobrałem już zespół aktorski, prócz głównego bohatera.

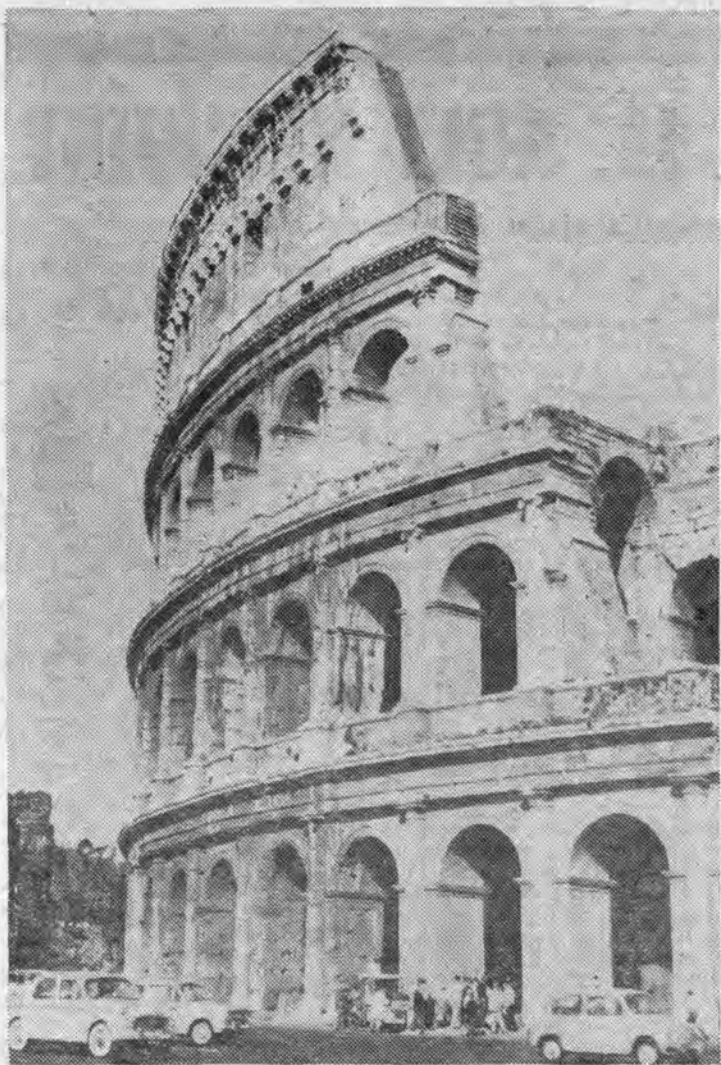
— Jakie filmy włoskie uważa pan za najlepsze w ostatnim okresie?

— Sądzę, że będzie to „Ewangelia 70” Bernardo Bertolucciego. Na razie gotowy jest tylko 30-minutowy fragment. Przedstawia śmierć starego kardynała, który w ciągu całego życia nie zrobił nic dobrego ani złego.

— A jakie są pana plany literackie?

— Piszę dla teatru 4 tragedie; wszystkie poruszają problemy współczesne.

(Kt-PAP)



Rzym Colosseum — fot. A. Łokaj

Turystyka i ... kult religijny

(dokończenie ze str. 1)

okalający zewnętrznie górną część kopuły. Można stamtąd obserwować rozległą panoramę Rzymu, równie doskonale jak np. panoramę Warszawy z wysokości tarasu urządzonego w szczytowej części Palacu Kultury i Nauki.

Bazylika św. Piotra jest niewątpliwie wyjątkowo cennym zabytkiem architektury, w jej wnętrzu nagromadzono niezliczone i nieocenione dzieła sztuki, a ponadto jest centralną świątynią rzymskokatolicką. Z tych też względów jest i będzie zawsze wielką atrakcją turystyczną, ściągając do niej i ściągając będą w przyszłości wielotysięczne rzesze turystów z całego świata. Masowy ruch turystyczny jest jak wiadomo zjawiskiem nowym, występującym zaledwie od kilkunastu lat. Wiadomo też, że Włochy i Rzym (wraz z Watykanem) są terenem największej w skali świata inwazji turystycznej. Bazylika św. Piotra jako obiekt turystyczny wysokiej klasy na pewno na tym korzysta. Ale jednocześnie wiele traci jako obiekt sakralny, którego pierwotnym przeznaczeniem było stworzenie dogodnych warunków do spełniania obrzędów religijnych i modlitwy. Obecnie (niektórzy katolicy uskarżają się na

to) w bazylice niepodobna modlić się w spokoju i skupieniu, ponieważ jej funkcje turystyczne górują wyraźnie nad religijnymi.

Jest to zresztą jeden z przejawów laicyzacji współczesnego świata: turystyka — w swej istocie zjawisko najzupełniej świeckie — usuwa w cień religię nawet w krajach klasycznie katolickich. Kościoły, zwłaszcza zabytkowe, nie wyłączając bazyliki św. Piotra, traktowane są nie tyle jako święte miejsca kultu, ile jako godne uwagi obiekty turystyczne. Kto chce we Włoszech turystykę połączyć z pobożnym pielgrzymowaniem, to niech poszuka leżącego gdzieś na uboczu cichego kościółka wiejskiego; tylko tam znajdzie spokój i ciszę. W bazylice św. Piotra już w głównym hallu pobożny pielgrzym jest potrącany przez napierających zewsząd turystów, stwarzających w tym świętym miejscu atmosferę charakterystyczną dla zatłoczonych poczekalni dworcowych. Ulokowano tam nawet dwie przechowalnie bagażu ręcznego, do których obowiązkowo są kierowani przez strażników watykańskich

ludzie taszczyący walizki, torby podróżne i większe pakunki.

W tej sytuacji nie trzeba się dziwić, że zwiedzający bazylikę niewiele uwagi poświęcają opisanym już marmurowym tablicom z tekstem reklamującym odpusty. Zauważyć można bez trudu, że znakomita ich większość nie po odpusty tutaj przybyła. Zresztą sprawa odpustów na ostatnim Soborze Powszechnym została potraktowana przez część biskupów jako wielce drażliwa, a nawet żenująca. Byli tacy ojcowie Soboru, którzy utrzymywali, że w czasach współczesnych nie godzi się stosować średniowiecznej arytmetyki odpustowej, według której odpuszczenie grzechów można zakupić za pieniądze, czy też zdobyć dzięki odbyciu podróży do określonych miejsc kultu. Mimo to tablice wmurowane przez Piusa XI chyba pozostaną w ścianach bazyliki. Bo i one są interesującym turystów muzealnym zabytkiem przypominającym o czasach, które już nie wróca.

Stanisław Markiewicz

SIAKOWCY nie pozdrawiamy się iantazją, ogłaszając chyba przejawem postawy wobec różnych zjawisk i faktów. Gdy dzwoniłem

do jednego z biur kopalnianych, powiedziano mi, że kierownik wyszedł do „pentagonu”. — A cóż to za nazwa? Zapytany później inżynier z uśmiechem zażenowania odpowiada: „Jeden się pęta, a drugi go goni”. „Pentagon” to biurowiec kombinatu; a podobno nazwa ta ma być przytykiem do przerosłych administracyjnych i biurokracji w ogóle. Uraczono mnie także lokalnymi dowcipami: Młot i kilof w godle górniczym zastąpiono w Tarnobrzegu łopata i cepami, bo łopata buduje się kopalnie, a cepów używają górnicy w gospodarstwie rolnym. I te powiedzonka raz mają charakter pobłażliwy, to znów satyryczny lub nawet zjadliwy, stanowiąc przejrzystą aluzję do wiejskiego pochodzenia większości pracowników, chłopskiej mentalności pomieszanej z cechami, jakie wyciska na człowieka praca w bądź co bądź specyficznym przemyśle.

Stary robotnik przybyły tu ze Śląska ma za zię górnikiem w pierwszym pokoleniu bierność społeczną i zawodową. — A kradną pierony co popadnie. U jednego milicja znalazła sto elektrod; zabrał je choć nie wiedział do czego służą. Milicjantowi miał powiedzieć: — Na gospodarstwie wszystko się przyda. Szczególnie „poszukiwanymi” są silniki elektryczne, ale nie gardzą także klamkami, kurkami czy rurami od zlewów. — Na gospodarstwie wszystko się przyda. Tym cytatem wyjaśniano mi zjawisko, któremu ongiś patronował bóg Hermes. Mój przyjaciel twierdzi, że kradną, bo mają po temu okazję. Milicji łatwiej udowodnić, że silnik pochodzi z kradzieży niż ustalić, w którym magazynie go brakuje.

Młody inżynier zajmujący stanowisko kierownicze i pełniący polityczne funkcje z wyboru, zachowuje umiar w ocenach: — Kradzieże zdarzają się i to często. Ja mam na stanie blisko 4 tys silników i silniczków, brak jednak magazynów, więc znajdują się one pod byle kawałkiem dachu, by przynajmniej zabezpieczyć je przed opadami. Pyta pan o postawę załogi? Jeden z robotników ujawnił sprawcę poważnej kradzieży, ale zeznania odwołał; złodziej zagroził mu spaleniem domu... Istotnie zdarzało się, że w jednej tarnobrzesckiej wsi czerwony kur załatwiał porachunki sąsiedzkie.

Mój rozmówca w odróżnieniu od innych nie jest pesymista. — Na zebraniach robotnicy krytykują stan pomieszczeń sanitarnych czy szatni. Szkody naprawiamy, a gdy znów zginie rura lub zamek, wołamy tych, którzy krytykowali i pokazujemy im skutki wandalizmu. Chodzi o to, by robotnicy rozumieli, że jednostki spośród nich działają na szkodę załogi, swych kolegów. Dostrzegam już pewną poprawę i twierdzę, że rozumne oddziaływanie administracji i czynników politycznych wiele może zmienić na lepsze.

Reprezentanci załogi dostrzegają jej wady, nie kryją, że stosunki międzyludzkie pozostawiają sporo do życzenia, jednak przestrzegają mnie przed „krzywdzącymi siarkowców uogólnieniami”. — Idźcie, towarzyszu, na rafinację, do „kwasu” lub „superfosfatu”. Siarkowcy pracują w trudnych z natury warunkach, pod gołym niebem lub w zapyłonych i gorących pomieszczeniach. Najwięcej skarg dotyczy właśnie warunków pracy. My, w Radzie Zakładowej, załatwiamy sprawy pozostające właściwie w kompetencji kierowników. A to nie wydano odzieży ochronnej, to znów zapomniano o dodatkach zdrowotnych. To wszystko rozszerza zakres naszych zadań do absurdalnych rozmiarów. Często interwencji cedujemy na rady oddziałowe, byśmy mogli zająć się istotnymi problemami.

Niektóre z nich już rozwiązano, m. in. profilaktyczne dożywianie czy wyrównanie rażących dysproporcji w wyposażeniu wynikających z obowiązujących w „siarce” dwóch układów zbiorowych: chemicznego i górniczego. Inne wnioski rozpatruje ministerstwo i zjednoczenie, np. postulat urlopów profilaktycznych czy skrócenia dnia pracy. Działalność związkowych niepokoją warunki i bezpieczeństwo pracy. — Nie mamy właściwego obrazu zdrowia załogi, powinna być u nas filia

Instytutu Medycyny Pracy, trzeba podjąć badania toksykologiczne, a tymczasem brakuje nawet podstawowych poradni specjalistycznych.

Wypowiedzi są ogledne i wyważone. Odnoszę wrażenie, że działaczom społecznym zależy, by ich oceny przedostały się na łamy prasy, ale jakby żywili obawy, czy rzeczywiście można o wszystkim mówić. Pytam więc wprost: — Podobno dyrekcja ukrywa niebezpieczeństwo związków siarki dla organizmu ludzkiego? Zdecydowanie zaprzeczają. — Donniemana szkodliwość siarki jest na pewno mniejszym złem niż fatalny stan

trzeba rzeczywiście użyć całej skali barw, a syntezy i uogólnienia budowane na przykładach mogą okazać błędne.

Inż. Włodzimierz Piwowar, kierownik robót górniczych, potwierdza, że opinia o przełożonym jest w pewnym stopniu miernikiem jego umiejętności kierowania ludźmi. Młody inżynier z techniczną wprost precyzją waży każde słowo, nie daje się ponieść emocjom, podkreśla, że się tak wyrażę, techniczno-materialne uwarunkowanie stosunków międzyludzkich i nastrojów załogi.

— Górnictwo odkrywkowe jest nową i specyficzną dziedziną;

techniczne i ekonomiczne, bo w przeciwnym razie będzie tylko „przytakiewiczem”. Gdyby przed 8—10 laty aktyw społeczny był u nas tak silny jak teraz, to na pewno nie wyraziłby zgody na różnorodne ograniczenia, które teraz dotkliwie odczuwa załoga.

Analizę podniesionego zjawiska pozostawiam socjologom, dla których zagłębie siarkowe jest wielopłaszczyznowym poligonem badawczym; tu można znaleźć materiał pozwalający skorygować niejedno twierdzenie w uniwersyteckich skryptach socjologii. Jedno jest chyba pewne: wspomniane zjawisko

cią przystosowując się do nowego otoczenia. A ta gorliwość wynika może stąd, że także często nie uznaje się inżyniera, który pracując w zakładzie zdobył studia. Więc zabiega o uznanie, o zdobycie pozycji zawodowej i towarzyskiej.

Tematem dla socjologa jest także proces kształtowania się załóg o cechach robotników przemysłowych, i zjawisko — używając dawnej terminologii — zmieszczania pewnych grup pracowników. W kręgach Inteligencji technicznej zjawisko to jest podobno zaawansowane, chociaż zdania są podzielone.

— To nie inżynierowie koluntują, ale naszej społeczności nadają ton pewne panie...

Cytat w gazecie nie odda intonacji głosu i mimiki mojej rozmówczyni, gdy wymawiała „pewne panie”, gdy podawała przykłady ich zachowania w miejscach publicznych, licytowania się w sklepach pozycjami zawodowymi mężów...

— Fakt — przytakuje Handerek — ich to warto opisać, niech wiedzą, co ludzie o nich sądzą.

— Niestety — mrucał jeden z inżynierów, co miało oznaczać niezgłaszanie odmiennego zdania.

— A co na to wszystko mężowie?

— Mężowie są zapracowani, wracają późno, zastają smaczny obiad w ciepłym i czystym domu a żony „trują” im rozum, że inżynier Z. zarabia więcej, dostał wyższą premię, zmienił mieszkanie.

Przed 8—10 laty, gdy absolwenci szkół i uczelni przyjechali do „Siarki” prowadzili typowy dla młodych kawalerów tryb życia, który niejednemu przeszkadzał wydajnie pracować. Teraz rodzinna stabilizacja wdrożyła młodym specjalistom zasady dyscypliny. Ale stabilizacja niesie i inne zjawiska...

Zdzisław Kozioł

LUDZIE ZAGŁĘBIA

BHP, przy czym chodzi głównie o nieprzystosowanie człowieka do pracy; robotnicy poruszają się w kombinacie i kopalniach niczym w lesie, ignorując przepisy, lekceważąc niebezpieczeństwo. Mamy za dużo wypadków, w tym także tragiczne skutki wybuchu „prywatnej” bomby w Piasecznie — kawałka dynamitu włożonego do pieca. Podobno w niektórych wydziałach przed pomiarami zanieczyszczenia powietrza wstrzymuje się produkcję, by wywietrzył hałas, ale to trudno udowodnić...

Na porządku dnia stoi także, a może przede wszystkim, problem przystosowania pracy do człowieka. Zasięgnąłem zresztą opinii lekarzy, którzy stawiali sprzeczne diagnozy co do oddziaływania siarki na organizmy żywe. Bezspośrednio zainteresowani wzmawiają sobie, że poza przykrym zapachem czy ewentualnymi podrażnieniami spojówek, gardła i skóry nie dostrzegają innego szkodliwego jej wpływu. Niezależnie od siarki, niecka tarnobrzescka ma wyjątkowo niekorzystny klimat, sprzyjający powstawaniu chorób nerwowych i reumatycznych. Redaktor zakładowej gazety, koleżanka Koszelowa, która relacje działaczy związkowych uzupełnia trafnymi i błyskotliwymi uwagami, mówi, że współzależność między klimatem a stanem zdrowia dzieci szkolnych potwierdziły badania dr Janiny Libman.

— Czy niezadowolający stan bezpieczeństwa w szerokim tego słowa znaczeniu wpływa na morale załogi? Młody aktywista spieszy z odpowiedzią: — Morale załogi obniżają sami kierownicy.

Wszyscy, z którymi rozmawiam, zgodnie twierdzą, że nikt nie jest zainteresowany przełożonych sprawami ludzkimi, troską o człowieka. — Dla nich ważna jest tylko produkcja, a ludzie nie czują się dobrze, jeśli przełożony o nich nie dba, nie znajduje dla nich czasu. Pójdiesz np. do sztygara, to cię o... li, pośle do diabła, postraszy nagana lub zwolnieniem. A czołowiek pracować musi, więc milczy i żal w sercu chowa.

I posypały się skargi, aż stary górnik Jan Handerek, obecnie zastępca przewodniczącego Rady Zakładowej, zaoponował: — Nie generalizujcie, towarzysze nie wszyscy są tacy, ale że większość, to fakt. — Pewnie, że nie wszyscy, ale ilu jednak takich znajdziecie towarzyszu Handerek, co widza, że to c z ł o w i e k produkuję? Sztygarzy Piszczek czy Saran też niekiedy stosują kary, ale oni są sprawiedliwymi, załoga ich lubi i szanuje. Takich szefów wybieramy do władz.

Rozmowa zesłała na temat aktywistów związkowych, którzy mają do spełnienia trudne zadania: połączyć obronę pracownika z troską o sprawy ogólnozakładowe, społeczne. Padły nazwiska obu Zielińskich, Leona z „kwasu” i Waldemara ze stacji odsiarczania wód, inżyniera Krzemieńskiego, Krzemyka, Solarzkiego zwanego potocznie wujkiem, popularnego radcy oddziałowego, który wie, kiedy się należy „postawić”, kiedy przymilić, poprosić, poczęstować cukierkiem, byle tylko załatwić sprawy swoich ludzi. Dla ukazania obrazu sytuacji w „siarce”

pracujemy w trudnych warunkach z uwagi na rozległy teren i zmienność warunków atmosferycznych, a przede wszystkim musimy rozwiązywać moc zagadnień z wielu dziedzin techniki i technologii. Mamy do czynienia z problemami z zakresu geologii, geodezji, miernictwa, hydrogeologii i wielu, wielu innych dyscyplin. To wszystko wymaga wypracowania ustalonego trybu postępowania na bieżąco, koordynacji zadań między poszczególnymi służbami, niemal wojskowej struktury.

— Nie każdy z dozoru średniego i niższego, kontynuując inż. Piwowar, posiada umiejętność dostosowania się do zmiennych warunków pracy: brak doświadczenia, nieudolność organizacyjna, niepełna znajomość zagadnień technicznych, a zatem bojaźń przed podejmowaniem decyzji. Sztygar nadzoruje 2—3 kilometry odcinek. Niech ich nawet będzie dwóch, no to co? Na takich obszarach wyniki pracy zależą od robotnika, jego postawy i zdyscyplinowania. Podległym służbom trzeba stawiać wysokie wymagania. I ta konieczność nie przez wszystkich jest właściwie rozumiana, a dotyczy to nie tylko robotników. Ja nie powiedziałbym, że za często karzemy; karani są zresztą i robotnicy, i nadzór. Karę traktujemy jako ostateczny zabieg wychowawczy, uprzednio stosując inne formy oddziaływania. Nieprzemysłany system kar będzie tylko zatrącał atmosferę, odniesie skutek negatywny. Dlatego często odrzucamy wnioski o ukaranie.

Podobne uwagi zgłaszał inż. Krzemieński, zastępca kierownika Zakładu Przeróbki Siarki, a zarazem I sekretarz KZ PZPR, członek prezydium Rady Zakładowej, przewodniczący komisji mieszkaniowej oraz pełniący parę pomniejszych funkcji, które — jak mówi — przyjął dla relaksu po pracy zawodowej i społecznej. Również inż. Krzemieński jest za odrzucaniem pochopnych wniosków o ukaranie, a nawet cofnięciem decyzji, jeśli zaszły jakieś okoliczności przemawiające za jej zmianą. — Nasza załoga, która poziomem na pewno ustępuje robotnikom śląskim, wymaga specjalnego podejścia; trzeba jej wyjaśniać wiele spraw, służyć przykładem, umieć zaimponować. A wtedy okaże się chętna, pracowita, co wyraża się chociażby w zobowiązaniach, które brygada podejmuje, by nie okazać się gorszą od innych.

Pytałem także, kogo robotnicy wybierają do władz politycznych. Okazało się, że z wyjątkiem bodajże jednego zakładu, w którym robotnicy, głównie wysoko kwalifikowani, mają przewagę w radzie oddziałowej, wybierani są przedstawiciele inteligencji technicznej. Na 9 członków Egzekutywy KZ w Zakładzie Przeróbki Siarki jest tylko jeden robotnik, pozostali to ludzie z cenzurami. — Robotnicy we władzach partyjnych i związkowych — mówi inż. Krzemieński — są konieczni, bo często pracownik fizyczny kępuje się przyjsz do inżyniera, ale jeśli partia i związki zawodowe chcą w zakładzie spełniać swoją rolę, to sekretarz czy przewodniczący nie może być „głupszy” od kierownika, musi znać problemy

trzeba rozpatrywać w aspekcie umacniania demokracji pracowniczej, zwiększenia udziału robotników w zarządzaniu przedsiębiorstwem. To dobrze, że inteligencja techniczna włącza się w nurt życia społecznego, ale czy osłabienie aktywności robotników można tłumaczyć jedynie chęcią zapewnienia sobie merytorycznie kompetentnej reprezentacji, obawami, że wybrani współtowarzysze mogą zawieść zaufanie przechodząc do hierarchii zakładowej? Czy nie mamy tu do czynienia np. ze złożonymi skutkami awansu społecznego, który osiąga się teraz głównie drogą nauki, studiów. Ambitni, zdolni i wytrwali stają się technikami, inżynierami czy ekonomistami. Nie każdy z nich utrzymuje potem kontakty ze swym dawnym środowiskiem, a bywa, że całkowicie zrywa z nim więzy, z neoficką gorliwo-



Baranów

Fot. M. Kopeć



Fot. M. KOPEĆ

Zabawa była szampańska. Zabawy dostarczyli nam aktorzy z Jamy Michalikowej swoim nowym programem „A to ci wesele”. Zabawie oddawała się bez reszty cała publiczność i jeszcze raz dowiedzia, że ceni dobry dowcip. Zabawę z aktorami krakowskimi będziemy mieli prawdopodobnie co miesiąc — ale o tym później. O zabawie chciałabym słów parę napisać, bo było ci to zjawisko szczególne w naszym mieście. Kończąc przeto odmienną zabawę przez przypadki, choć na taką odmianę zasługiwała.

„A to ci wesele” jest pastiszem „Wesela” Wyspiańskiego, jak oznajmiono nam na wstępie. Jest więc szopą narodową na znane tematy, niejednokrotnie już eksploatowane na scenkach kabaretowych — tyle że raz źle, a raz dobrze; tu dobrze, tu inaczej, tu inteligentnie.

Jest więc chata rozśpiewana, są więc czary dobrego aktorstwa, jest duch przekory, słomiane chochoły zapału, są słowa, słowa, słowa i to tak zręcznie tnące przywary Polaków, tak znakomicie strzelające w nie kalamburem, tak zawinięte w aluzje o rzeczywistości i tak z kolei ustawione wobec Wyspiańskiego pierwowzoru, że prowokują najpierw do pochwały ich twórców — sławną krakowską trójcę — Tadeusza Kwiatkowskiego, Brunona Miećgowa i Jacka Stworę. Zrobili już sześć programów; każdy jest wart miłana dobrego kabaretu, żaden nie kompromituje tradycji Zielonego Balonika.

Przed 10 laty Jan Paweł Gawlik napisał „Powrót do Jamy”. Kończąc swój szkic o tradycji krakowskiego kabaretu, powiedział:

„Zielony Balonik był racjonalistycznym protestem przeciwko mitom epoki. W życiu nie ma powrotów, ale trafiają się analogie... Nasza epoka wciąż jeszcze czeka na swój Zielony Balonik. Czeką na wybuch śmiechu, który obali pozory, ustali nowe wartości i ludzi przyzwyczajonych do tychczas do powielania sche-

matów, nauczy krytycznie patrzeć na autorytety i mity”.

Nie wiem, nie jestem pewna, czy ludzi trzeba uczyć krytycznie patrzeć, bo to jest to jedno, co przychodzi automatycznie z doświadczeniem życiowym; wiem natomiast, że nasza epoka czeka na wybuch śmiechu. Śmiechu zdrowego, czasem ironicznego, zawsze inteligentnego. I spora porcja tego śmiechu została nam dana.

A TO CI ZABAWA!

Nowy Balonik nie jest odkrywcy w sferze krytyki: łapówki, biurokracja, handlowe nonsensy, polskie zrywy reformatorskie — to wszystko już znamy nader dobrze. Nowy Balonik przydaje temu jednak sformułowanie celne i słowo inteligentne. Sam pomysł zaś sięgnięcia po „Wesele” wydaje mi się rzeczwiście godny najwyższej pochwały, bo zamyka całość kłamrą pełnego spektaklu kabaretowego, bo zrywa ze sztampą kupletów na poszczególne tematy, luźnych śpiewadełek, blackoutów, do których nas ten typ widowiska przyzwyczajał. I co to mówić — które dostatecznie nam zbrzydły.

„A to ci wesele” jest genialnym pretekstem do pogaduszek o współczesności. Jak u Wyspiańskiego snują się tu mary, przywary, i... pary. Gada się i tańczy wielki finałowy tan. Idą spory o bardzo realistyczną kość niezgody. Gospodarz — Sadecki chce ci coś zmienić, zreformować, nowego zrobić, Chochoł — Stebnicka ma tęsknoty bardzo rządowe — zatem ziemskie, Rachel — Kwiatkowska tnie satyrą intelektualnie rozbuchanej panny, w polityce słyca, e Chińczyki trzymają się mocno, duch biur ma czkawkę i w ogóle jest niesłychanie wesoło. Zmienia się nastrój tylko w finałowej scenie, gdzie już nie bardzo mamy ochotę na śmiech, bo też bardzo ta parafraza słynnej finałowej sekwencji „Wesela” przypomina tamtą szopę polską w ironii i goryczy. Ale przecież nie od rzeczy jej tytuł: „A to ci wesele”...

Oczywiście, że i w tym programie szanuje się gust każdej publiczności, że i tu są kawały o handlu typu „Lesz — imperatyw od leżec”, ale wszystkie podporządkowane mądrej koncepcji teatru kabaretowego nie rażą, nie drażnią i nie rozbijają harmonijnej całości.

A zawdzięczamy tę miłą zabawę znakomitemu pomysłu kierownictwa rzeszowskiej Estrady, które nie bacząc na rentowność, czyli finansowego fetysza, zrobiło mądry ułkon w stronę jakości artystycznej repertuaru importowanych. Nie jest to podobno ułkon jednorazowy, ale ciąg ułkonów — toteż miejmy nadzieję, że nic nie stanie na przeszkodzie — wręcz przeciwnie — wszystkie dobre duchy dopomogą Estradzie, by projekt zrealizowała w szczególach i byśmy wszystkie sześć programów Jamy Michalikowej na scenie rzeszowskiej oglądać mogli. Tak jak się pomyślało — raz w miesiącu i tak jak się na pierwszym programie stało — przy wypełnionej po brzegi widowni.

KRYSTYNA
ŚWIERCZEWSKA

Cecylia Błońska

NIKT NIE DEMOSTE

...I nagle zdawało mi się, że wpadł w głęboką próżnię. Myśl słabo kołatała się w uciążliwej głowie i tylko dojmująca świadomość, że skompromituje się doszczętnie, strach przed ostateczną klęską kazał mi wyrzucić z siebie słowa. Puste. Bez treści. Nie te bynajmniej, które zamierzałem wypowiedzieć. Chodziło już tylko o to, by nie dopuścić do większej przerwy. By słuchacze, których twarze rysowały mi się jak za mgłą, nie dostrzegli, iż całkowicie uciekł mi koncept...

— Znać taką sytuację?

— Przeżywałem ją kiedyś?

Jest okropna. Potem śni się całymi tygodniami i prelegent na nowo przeżywa męki wstydu, upokorzenia. Nagle powraca mu wspaniały zamysł, przez mózg przebiegają w znakomitym sensie uszeregowane słowa, jawi się błyskotliwy wykład, który mógł być przecież wygłoszony. Słyszysz nawet oklaski zamiast deprecyjnej, żenującej ciszy, jaka nastąpiła, gdy w końcu błady, z lekko spoconym czołem zszedł z mównicy, szybko zmierzając ku wyjściu.

Czy można uniknąć takiej sytuacji, a raczej jak do niej nie dopuścić. Jak, wobec coraz doskonalszych, mimo wszystko, środków masowego przekazu, konkurencji tego co słuchacz odbiera z telewizji, z radia, nie dać się zakasować w działalności prelegenta, nieodzownej i niezbędnej dla pracy politycznej, propagandowej. Temu rozległemu problemowi poświęcone było seminarium, zorganizowane przez Wydział Propagandy Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Jego temat: „Psychologiczne i metodyczne podstawy pracy lektorów i wykładowców” okazał się atrakcyjny. Stawili się nie tylko lektorzy KW, wykładowcy WUML-u, kierownicy powiatowych ośrodków propagandy partyjnej; przyszedł bardzo licznie aktyw z terenu miasta.

Prowadzący zajęcia, kierownik Katedry Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, prof. dr Włodzimierz Szewczuk, autor pracy „Psychologia człowieka dorosłego”, celowo uważam, skupił uwagę prelegentów przede wszystkim na tym, czego winni unikać, chcąc zapewnić sobie sukces. Warunków tych jest sporo wachlarz. Są różnorodne. Wszystkie jednak wymagają głębokiego, chyba znakomitego opanowania przedmiotu, tematu, z jakim prelegent ma wystąpić.

Wiele stycznych pracy prelegenta z dydaktyczną działalnością nauczyciela nieodmiennie potwierdza praktyka. Tak prelegent występujący z wykładem na ściśle określony temat, jak i pedagog na lekcji swego przedmiotu sprawiać muszą wrażenie, iż dzielą się ze słuchaczem (z uczniem) tylko częścią swego rzetelnej wiedzy o zagadnieniu. Ze przekazują mu określony, przemyślany sygnał w sprawie interesującej obie strony. Krakowski profesor słusznie przestrzegł przed sytuacją analogiczną do wieloznacznego korepetytora: sam co dopiero opanował siódmą lekcję języka francuskiego, „na mieście” w pogoni za gotówką, przerabia z uczniem zakres lekcji drugiej.

Przekonanie słuchacza o tym, iż wykładowcą jest człowiek

gruntownie zorientowany w materii, którą omawia, jest tak samo warunkiem powodzenia, jak świadomość, iż prelegent jest w jakimś stopniu bodaj zaangażowany w sprawę, którą referuje.

Słuchacz — nie ma znaczenia topografia sali wykładowej, może to być zarówno monumentalna aula w wielkim mieście, jak i skromne pomieszczenie w wiejskim domu kultury, świetlica gromadzkiego komitetu partii — bezbłędnie odczuwa owo wewnątrzne przekonanie, emocjonalne zaangażowanie czy choćby aprobatę, jakiej mówca w głębi serca udziela sprawie, za którą w danej chwili agituje, którą propaguje.

Toteż słuszna wydała mi się, rozległym doświadczeniem profesora umotywowana uwaga o tym, iż każdy, dotyczący odczytu masowego odbiorcy pracy propagandowej, chce mieć swoją rację. Ze nie istnieją w psychice ludzkiej, w sposobie myślenia możliwości gwałtownego przejścia z poniedziałku na wtorek. Liczenie się więc z racjami, często kontrowersyjnymi słuchacza, branie ich pod uwagę, sukcesywne przeciwstawianie im mądrych, rozsądnych argumentów, stanowi jeden z czynników skuteczności pracy prelegenta.

A nie już gorszego jak chęć wypowiedzenia w jednym wykładzie tego wszystkiego, co, być może, z rzetelnym trudem sam mówca zdobył, przygotował, obmyślił. Wyrwykowe badania prowadzone nad jakością referatów wygłaszanych przez Towarzystwo Wiedzy Powszechnej na terenie powiatu Kraków wykazały, że w prelekcji na temat własności społecznej, prelegent zmieścić zdołał aż 37 rozmaitych zagadnień, gdy najwyżej cztery do pięciu problemów przykuć może uwagę audytorium. W wypadku tak niepożądanego spiętrzenia zagadnień, następuje — jak określa to psychologia — hamowanie retrospektywne i jedynym gorącym pragnieniem słuchacza jest już tylko jak najpełniejsze wyłączenie się z odbioru, możliwość biernego przeczekania lawiny zagadnień, jakie referuje nieogledny mówca.

Trzeba bowiem wiedzieć nie tylko co się mówi, ale i do kogo. Ten kardynalny brak wyuczucia audytorium zdarza się często zadufanym mówcom, przekonanych, że oratorski blask ich wystąpienia wywołać musi wszędzie zainteresowanie.

Przyznam się, że z niejaką obawą słucham niekiedy wystąpień pisarzy na spotkaniach twórczych środowiskowych. Nie brak tu niekiedy zabawnych nieporozumień, gdy np. autor, od którego w kręgu doświadczonych księgowych powiatowego miasta oczekiwano, iż będzie mówił przystępnie a ciekawie o swej twórczej pracy, nagle ni stąd ni zowąd rozpoczyna generalne obrachunki z warszawską kawiarnią literacką, zakamuflowane wycieczki pod adresem stołecznych kolegów po piórze, przekonany w dodatku, iż tego właśnie gorąco pragnęli uczestnicy spotkania.

Podobnie postąpił, znakomity skądinąd, uczonej z Katedry Fizyki, gdy przybywszy do wsi w pow. miechowskim, wygłosił par excellence akademicki wykład o budowie wszechświata bez zająknięcia oczywiście, referując

RODZI SIĘ NESEM

14 teorii na ten temat, poczynając od starożytności, a kończąc na wywodach Szwarca.

Z doświadczenia wiem, że nawet przy zaufaniu do swojej pamięci, trzeba mieć jednak całą prelekcję nie tylko zaktualizowaną, tak jak nawet najbardziej doświadczony nauczyciel konspektuje lekcję, ale w całości napisaną. I bez fałszywego wstydu odczytać ją w domu kilkakrotnie na głos, odmierzyć jej trwanie na zegarku, pamiętając o tym, że 60 minut to nie tylko miara jednej godziny, to również optymalny czas w jakim utrzymać można uwagę słuchacza. Kto zaś posiada magnetofon, nie bardziej pożytecznego (a czasem i zaskakującego), jak przysłuchanie się emisji własnego głosu...

Dopiero po tak sumiennym przygotowaniu, prelegent, stając na mównicy oko w oko z audytorium, może rozpocząć swoje dzieło.

Oby mu się wiodło. Aby się nie jękał. Oby mu nie uciekał koncept i nie sięgał nerwowo do notatek, które jednak dodają mu pewności siebie.

I śmiało niech korzysta z coraz bogatszych pomocy audiowizualnych, którymi technika zdolna jest również wesprzeć mówcę, gdy... uciekła myśl. Rzutnik, film krótkometrażowy, wykresy, w ruch puszczane reprodukcje znakomicie uatrakcyjnią najbardziej nawet „suchy” temat.

Krakowski psycholog przytaczał przykład użycia rzutnika, po raz pierwszy bodaj, w czcigodnej auli Uniwersytetu Jagiellońskiego na tegorocznej inauguracji

roku akademickiego. Rektor w ten sposób unaoczniał rozwój krakowskiej Almae Matris, nie wahając się bynajmniej wprowadzić rzutnik do tak uroczystego wykładu.

Istnieje obszerna literatura do tego zagadnienia. Warto zajrzeć do E. Krygiewicza „Prelegent — przemówienie”, do F. Malczewskiego „Z teorii i praktyki propagandy”, do S. Słomkiewicza „Dydaktycznych problemów szkolenia partyjnego”.

Gdy zaś mamy już za sobą udany wykład i zamierzamy w aureoli dobrego prelegenta zejść z mównicy, pamiętajmy o podstawowym warunku tego finału: nigdy nie przedłużać go nużącym refrenem: „Pozwólcie (kochani, drodzy, szanowni itp.) iż na koniec powiem wam...” A potem „chciałbym wam jeszcze kończąc dodać...” A za chwilę po problemie, który nagle przypomniał się rozległy a decydujący jakoby dla tego wszystkiego co zdołał już przekazać... „Więc pragnąłbym jeszcze w swoim zakończeniu podkreślić...” I tak w nieskończoność.

Ponieważ rzadko kto rodzi się Demostenesem — a pamiętamy przecież ze szkolnych czytań ile trudu kosztowało i jego opamiętanie potocznej wymowy — złożone i trudne reguły udanego wystąpienia, dobry prelegent podobnie jak ambitny orator winni mieć zawsze na uwadze.

A mówca, który nie wie kiedy skończyć, w ogóle nie jest wart by zaczynał...

CECYLIA BŁOŃSKA



Roman Kaleta

Fot. Zofia Huber

Justyna Woś

DETEKTYW LITERACKICH I HISTORYCZNYCH TAJEMNIC

Przez dziesiątki lat prowadzone naukowe badania, aby w rezultacie kilka utworów o wątpliwej wartości przypisać autorowi „Marii”. Fakt ten, od początku budził zdumienie i prowokował pytanie niejednego znawcy literatury — w jaki sposób Antoni Malczewski, mógł napisać jeden wspaniały utwór, stawiający go w rzędzie najwybitniejszych romantyków, a obok tego parę grafomańskich wierszy? Dziwiono się... ale zakwestionować było trudno. Po prostu dla braku wystarczających dowodów.

I niewiadomo jak długo utrzymywałyby się mylne hipotezy, gdyby nie informacje, że w Przemysłu znajduje się rękopis z roku 1819 z wierszami Malczewskiego. Tę właśnie wiadomość przesłał w 1964 r. Romanowi Kaletcie, wrocławskiemu przyjacielowi, mgr A. Kunysz dyrektor muzeum regionalnego w Przemysłu. W dwa lata później w „Przeglądzie Humanistycznym” ukazała się rozprawa, w której autor niezbitnie dowiódł, że w czasach współczesnych autorowi „Marii” żył we Lwowie drugi Antoni Malczewski, również poeta i że właśnie spod jego pióra wyszły owe „niewydarzone wierszydła”.

Książki, mnóstwo książek ułożonych w wysokich regałach. Na ścianie wyeksponowane akwarelki i sztychy znanych zabytków Biecza. Stylowe szczegóły w prywatnym gabinecie doc. dra Romana Kalety we Wrocławiu dostrzegłam znacznie później. Gospodarz widocznie odgadł moje myśli, bo powiedział:

— To prawie jak w wierszu W. Broniewskiego — ...
ale miło mi o tamtej ziemi
myśleć czasem idąc przez życie,
żem nauczył się tam słów,
którymi
umiem kochać i cierpieć,
i bić się...

Dzieciństwo spędzone między zabytkami zostawiło trwałe i rzeczywiste ślady. Roman Kaleta jest autorem kilku historycznych rozpraw, inspiratorem i redaktorem monograficznej książki o rodzinnym mieście. 6 lat żmudnej i ofiarnej pracy wielu znawców historii, literatury, architektury i archeologii, pod mecenatem Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Rzeszowie, dzięki pomocy Komitetu Wojewódzkiego PZPR, daje w efekcie monumen-

talny tom — „Biecz. Studia historyczne”. ...W kilka miesięcy po ukazaniu się „Księgi bieckiej” — mówi dr R. Kaleta — mój przyjaciel dr T. Ślawnicki powiadomił mnie, że z odległej wioski przyszedł chłop w podeszłym wieku ze swoimi zawiniętymi w chustkę skromnymi oszczędnościami. Chciał kupić „...dużą książkę o Bieczu”... To wzruszające wydarzenie było dla mnie największą chyba nagrodą za wieloletni trud...

Roman Kaleta zasłużył się miastu nie tylko jako organizator i redaktor naukowy monografii, ale także jako autor dwóch rozpraw: „Zamek w Bieczu” i „Ponury dokument upadku miasta Biecza”. We wstępie napisał: „miasto usytuowane w urodzajnej okolicy na wyniosłym wzgórzu robi z daleka wrażenie średniowiecznego rezerwatu i przejeżdżającego owędy turystę przyprowadza już pierwszym widzeniem o nastrój charakterystyczny dla historycznej legendy”.

Teraz rozumiemy dlaczego toczona przez p. Kaletę batalia o zachowanie „uroku przeszłości” jest tak wytrwała i konsekwentna, dlaczego tak bardzo obchodzi go konserwacja zabytków, i — wreszcie, dlaczego przygotowuje kolejną pracę „Walka o uratowanie pomników historycznych Biecza w drugiej połowie XIX wieku”.

A Wrocław? — To moje drugie ukochane miasto — mówi doc. Kaleta. Tu ukończył pod kierunkiem prof. dra T. Mikulskiego studia polonistyczne. Przez kilka lat był asystentem prof. dra J. Kotta na Uniwersytecie, a następnie w Instytucie Badań Literackich PAN we Wrocławiu. Specjalizuje się w literaturze Oświecenia.

Roman Kaleta mówi, że ulubionym jego poetą jest St. Trembecki; współpracował z Janem Kottem nad wydaniem „Pism wszystkich” tego autora. Z profesorem przygotował także do druku „Listy Trembeckiego”. Z równą pasją zajmował się twórczością innych poetów oświeceniowych, m. in. Wybickiego, Jasińskiego, Zabłockiego i Karpińskiego. Wystarczy przeglądnąć publikowane prace Kalety, aby zorientować się, że ich autor cełuje również w wydobywanie z „mroków archiwalnych” nie znanych dotąd utworów nie tylko wieku XVIII.

„Śledztwa” w literaturze prowadzi już 17 lat. Ma na swym

koncie ponad 60 publikacji, wiele recenzji, rozpraw naukowych i rewelacyjnych odkryć. Niemałym zaskoczeniem w świecie nauki było „wygrzebanie” i opublikowanie w 1957 r. trzech świetnych a nieznanych satyr Oświecenia („Nie masz zgody”). Nie tylko koneserów zainteresowało ujawnienie rozpoznanych w jednej z krakowskich bibliotek — autografu ze swawolnymi i doskonałymi utrzymanymi w konwencji ludowej „Pieśniami światowymi” Karpińskiego. Osobny rozdział w bogatej i różnorodnej pracy R. Kalety stanowi zbieranie anegdotek, historyjek, ciekawostek. — Dowcip i humor — mówi — zbliżają przeszłość, pokazują ludzi nawet wielkich, na co dzień z ich zaletami i wadami.

Wie o tym prawie każdy mieszkaniec Dolnego Śląska dzięki niedzielnej rubryce w „Słowie Polskim” pt. „Sensacje z dawnych lat”, którą Roman Kaleta prowadzi od 1965 r. Ni-długo „Sensacje” doczekają się książkowego wydania i będzie to więc drugi zbiór tego typu po „Anegdotach i sensacjach obyczajowych wieku Oświecenia”, wydanego przed dziesięciu laty.

Biecki badacz przeszłości historycznej i wrocławski znawca literatury oświeceniowej — w jednej osobie, większość czasu spędza wśród książek, w bibliotekach i archiwach. W październiku bież. roku oddał do druku zredagowany przez siebie oświeceniowy tom „Archiwum literackiego” ze swoimi pięcioma pracami o Karpińskim, Albercie Mierie, o genezie Stanisławy M. Molskiej, o wierszu G. Białobrzęskiego opisującego wydarzenia rewolucyjne w Warszawie 1794 r., no i wreszcie o Trembeckim.

W połowie przyszłego roku obiecuje przekazać do druku tom studiów o poezji i życiu obyczajowym XVIII wieku. Zapowiada również kilkutomową edycję poezji politycznej (jakobińskiej i kościuszkowskiej).

Na zakończenie wiadomość chyba najbardziej frapująca — mowa o książce „Faworyty i dzieci króla Stanisława Augusta”. Trudno mi w tej chwili powiedzieć, kiedy zabiorę się do pisania. Żeby to człowiek mógł poświęcić na tego rodzaju pracę dodatkowe godziny, które „marnotrawi się” na sen... — ubolewa Roman Kaleta.

JUSTYNA WOŚ



Nie tylko Bogusławowi Kobieli jest w takiej do twarzy
Fot. M. KOPEC

ROMAN TUREK

ALCJA

"HITLER KAPUT"

/ZE WSPOMNIEN AUTORA/

Na czwartce papieru zwieszę i suche jak trzask karabinowego zamka słowa:

„Przemysław” rozkazuje: podoficerowie plutonu łączności Komendy Okręgowej AK, plutonowi: „Faworyt”, „Odys” i „Drysa” w dniu 17 grudnia 1941 roku o godzinie 23.00 znajdują się w najwyższym punkcie wznesienia Trześnik. Po spotkaniu tam patrolu nr 2, podążają się przyniesionym ze sobą kabłąm do zajęcia przez Niemców jednej pary przewodów na słupach telefonicznej linii pocztu polskiej. Do mikrofonu przyniesionego ze sobą aparatu telefonicznego nadadzą trzykrotnie, z minutowymi przerwami, meldunek: „Hitler kaput!” Porozumieć się hasłem: „wybieram się po drzewo”, odziewem: „do Bażantarni”. — Koniec.

— Mógłbyś opuścić to miejsce przy stole pod oknem! Na dziesięć wieczór ma ono inne, specjalne przeznaczenie. — Nie, nie po to je zajęłem, bym zaraz zwałniał. Jestem „Faworyt” i wybieram się po drzewo.

— Ach, tak, do Bażantarni? Ja też wybieram się tam po drzewo. Przysiadę się zatem i ja, „Odys”.

— Dobrze się składa, siadaj! Zaczekamy na trzeciego.

Mała podmiejska restauracyjka świeciła już pustką. Zbliżała się godzina policyjna. Porozumiewasz się z gośćmi, usłużny restaurator zamknął drewniane okiennice i, stawiając na stole dwie bomby musującego piwa, rzekł zachęcająco:

— Przyrządziłem jak grog. Na gorąco z rumem i cukrem. Pośpieszcie się panowie! Wiadomą wam, że dzień dzisiejszy jest dniem, w którym podawać piwo Polakom jest wzbronione.

— Jeszcze jedno także, panie Franciszku, ktoś trzeci powinien zjawić się zaraz — zamawiali siedzący u stołu.

Restaurator ruszył za szynkwasy i w tejże chwili otworzywszy i zamknąwszy drzwi za sobą, wszedł do lokalu krzepki mężczyzna, śmiało kierując się ku stolowi przy oknie i siedzącym przy piwie dwóm przybyłym tu wcześniej gościom.

— A, Józek! cześć! — witali znajomka obaj — co ty tu o tej porze szukasz? Przybyłi pochylili się nad stołem i syknął:

— Nie Józek, do diabła, tylko „Drysa”. Wiedziecie o tym. I nie przyszedłem tu szukać..., ale wy brałem się po drzewo.

— Do Bażantarni? — my też. Siadaj, napij się lyk grzanego piwa z rumem i idziemy — podsunęli przybyłemu składane, jarmarczne krzesła.

W taki sposób poznali swoje pseudonimy, zresztą, długoletni znajomi, którzy przybyli tu o oznaczonym czasie, niby na punkt zborny, skąd razem już udali się mieli w dalszą drogę. Myny ich nie bardzo były tegie. Popijając grzane piwo, szepotali do siebie z nieukrywana złością:

— Co za głupi pomysł wpadł „Przemysławowi” do głowy — pomrukiwał „Faworyt”, który ożeniwszy się niedawno, szczęściem w małżeństwie nie przekarmił się jeszcze. Potwornie głupi pomysł i rozkaz — ciągnął półszepetem. Niemcom nie uczyni to szkody ani tyle, jakby ich pod stopami załaskotał. Nas zaś, gdy Szwabę podczas akcji złapaliśmy, sucha gafaż czy kula we łby czeka, jak amen w pacierzu. Daj, przestudiujemy to — zwrócił się do siedzącego obok kolegi.

Wyglądziwszy kartkę papieru na stole, czytali półgłosem rozkaz jeszcze raz.

— Idiotyzm, cholera! Nie może to sam, skoro taki bohater, zawiesić sobie bębna na brzuchu i bębnić, a i drzeć się Niemcom w uszy, że ich bóstwo skapiło? Kto to ten Przemysław? — krytykując na wszystkie sposoby zarzucał plutonowy „Drysa”.

— A grzysi tam jego wiedzę, kto pod pseudonimem się kryje. W każdym razie w tak niepoważnej akcji decyduje się brać udział po raz pierwszy, ale i ostatni — oświadczył stanowczo „Faworyt”.

— Tak czy inaczej idziemy, czas już! — rzekł wstając „Odys”, który, czy to wyobraźnią nie dysponował zbyt wielką, czy grzane piwo z rumem działało nań skutecznie, nie przedstawiał sobie wykonanie nałożonego zadania ani trudnym, ani niebezpiecznym zadaniem.

Szli milcząc. Wywiezioną grudniową noc była jasna, widoczność rozległa. Kilkunastopiętny mróz piekł jak ogniem w policzki, ubity jak asfalt śnieg na szosie skrzypiał pod skamieniałymi podszewkami butów. Dawno już minęła godzina policyjna. Trzej konspiracyści posiadali wprawdzie odpowiednie dokumenty z zakładów pracy i w potrzebie mogli się tłumaczyć powrotem z szczytów wieczornej. Cóż jednak z tego, skoro szli w odwrotnym do swych domów kierunku. Poczuł się też bardzo niemile zaskoczony, gdy tuż pod wyczerpniętym Trześnikem zahuczały za ich plecami ciężkie motory. Niewielka kolumna aut ciężarowych minęła ich, nie zuchepiając na szczęście. Jadący na autach okutani w kożuchy żołnierze Werhmachtu siedzieli pokurczeni i na wprost skostniałi. Wznosili chyba ciche modły o szczęśliwe odmrożenie kończyn, aby zamiast na front wschodni, zajechać do szpitala.

Stremowani ździebko, wspięli się na wierzchołek Trześnika, rozglądali naokoło i, nie znajdując tu żywego ducha, poczęli się naradzać.

— Niedobrze dla całości naszego zadania, a dla nas niebezpiecznie, gdy całą trójkę kręcąc się tu będziemy — rozsądnie zauważył „Faworyt”.

— Słusznie — poparł go „Odys”. Idźcie zatem wy obaj dróżką do Bażantarni i do pnia któregoś z drzew się przyklejcie, albo w krzaczkach przycupnąwszy, miejcie oczy i uszy otwarte. W oczekiwaniu na przybycie patrolu nr 2 wystarczy, gdy ja sam na szosie zostanę.

Roztropny wniosek przyjęty został bez sprzeciwu.

Pozostawiony sam sobie „Odys” przemierzał szosę tam i z powrotem, tam i z powrotem, i wytrzeszczał oczy na wszystkie strony; poszum lekkiego wiatru w koronach wysokich sosen, budził w nim dreszczyk niepokoju. Nic to!

W pewnej chwili spojrzął ku wylotowi tak zwanej Hrabskiej Drogi. Przez i tak zziębnięty grzbiet przeleciał dreszcz strachu, nogi niczym drągtem pod kolana uderzone ugięły się pod nim. Wylotnił się bowiem stamtąd wysoki, smukły mężczyzna i jak w dym, wali wprost na niego. Ależ tak! Poznał go od razu. Przecież to inspektor i komendant miejskiej służby porządkowej! Człowiek, o którym się słyszało, że Niemcom się wysługuje, przez co mieszkańcy Łańcuta krzywo na niego patrzyli, zafantem go nie darząc.

„A ten czegoś tu chce; czyżby wyspa jaka?” — myśli lotem błyskawicy przebiegły po głowie stropionego „Odysa”.

Przed wojną z rodziną pana inspektora utrzymywał on przyjazne i serdeczne stosunki. Bywał w domu jego rodziców, lubił go tam wszyscy i on im takim samym uczuciem płacił.

„A może to farbowany lis? Kto to może zgadnąć?” — przestaje się „Odys” głowić i zastanawiać i, podchodząc ku przybyłemu, rzuca hasło:

— Pan też wybrał się po drzewo?

Zagadnięty inspektor, zamiast umówionego odzewu, prawdziwym nazwiskiem „Odysa” nazywając, począł go niedelikatnie besztać:

— Co pan robi o tej godzinie pod Bażantarnią? Czy panu nie wstyd? — Żona, dzieci czekają ojca w domu, a on, człowiek starszy, poważny, randki sobie urządza! Proszę, niech pan zaraz rusza stąd do domu...

Przechadzali się obaj tam i z powrotem w miejscu, gdzie dokonana miała być „akcja”, skąd ani jeden, ani drugi ustąpić nie chciał. Inspektor w dalszym ciągu na towarzysza psoczył, wizję czekającą go w domu rozprawy z żoną w najczarniejszych kolorach przedstawiał. „Odys” zaś półgłębkiem tylko od

czasu do czasu coś mruknął. Po głowie tłukły się mu różne nieprzemienne domysły i przypuszczenia co do tego niezwykłego i najmniej oczekiwanego, a już wcale niepotrzebnego w takiej chwili spotkania.

„Diabli go tu nastali!” — wściekał się w głębi duszy nie wiedząc jak wybrnąć z sytuacji, w jakiej tak nieoczekiwanie się znalazł. Wyznaczona w rozkazie godzina „akcji” zbliżała się nieublaganie, a ten nie odchodził.

— Ależ, panie inspektorze, ja przecież po drzewo jedynie się wybrałem. Czemu nie daje mi pan odpowiedzi właściwej? — E, co mi pan tu o drzewie bzdużny! — Spil się pan, czy co? — zaczął inspektor znów, ale spojrzawszy w tył za siebie, powiercił sobą niespokojnie i nachyliwszy się zaczął tonem zmienionym, nerwowo a szybko:

— Pierony starych, i ja tu diabli noszę! — Dobrze, niech pan zostanie. Proszę nawet pana o to. Ale patrz pan, tam o, moja narzeczona tu biegnie. Niech pan jej powie co się panu żywnie spodoba, ale na miłość boską, niech ją pan spławi stąd jak najprędzej!

I obarczywszy zdumionego „Odysa” nie nazbyt przyjemną misją, inspektor pognał szosą w kierunku Zameczku. W minutę potem stanęła przed „Odysem” dziewczyna, na której widok, w obliczu nawet większego jeszcze niebezpieczeństwa, grzeszne myśli na plan pierwszy wysunąć się musiały. Zatrzymawszy się, trzepała roztrzęsionym głosem:

— O, o, o! To pan? Dobry wieczór. Nie widział pan tu mojego narzeczonego?

— Owszem, rozmawiałem z nim przed chwilą.

— I co?

— Nic. Rozmowa nasza trwała krótko, narzeczony pani bowiem śpieszył się ogromnie, tłumacząc, że ma do załatwienia niezwykle ważną, a pilną sprawę służbową — utrzymując nerwy na wodzy tłumaczył „Odys”.

— Aha, sprawę służbową! Już ja się spodziewam, jaka to być może sprawa służbowa. Sądzi on, że nie widziałam jak załadował dwa rewolwery nabojami? A poza tym... był taki inny niż zwykle.

— Proszę pani — mityguje dziewczynę „Odys” — tak czy inaczej, dziś nie złapiemy go, nawet we dwóje. Niech się pani uspokoi i do domu wraca. Jeśli by udało mi się z nim zetknąć, przyprowadzę go, by panią przeprosił. Nie sądzę jednak, wszakże ja też do domu śpieszę. — Długo dziewczynie tłumaczyć musiał „Odys”, zanim uspokoiła się nieco, lecz ruszywszy w kierunku domu, zaniosiła się kąniem.

— Poszła? Dziękuję panu — w niedługi czas był pan inspektor z powrotem. Nie groził już „Odysowi” donosem do najwyższego trybunału — żony jego w domu, nie było na to czasu. Tuż za nimi wylotnił się jak spod ziemi znany w całym mieście cynik i kpiarz, technik pocztu łańcutkiej, towarzysz Cyrnek (nazwisko prawdziwe) w towarzysztwie dwu jeszcze młodych mężczyzn. Ten nie bawił się w ceregiele. Ze zwykłą sobie swobodą i humorem rzucił hasło:

— A co towarzysze, po drzewo wybrałiście się?

— Tak, do Bażantarni — odpowiedział odziewem inspektor, i spojrzawszy na ostupiałego „Odysa” zarechotał szatańskim śmiechem.

— Oj... żeby pana najjaśniejszy szlag trafił, inspektorze! — wyrzucił z siebie przekleństwo „Odys”. — Nie dość, że mróz w sople lodu zmienił się mnie uparł, to i pan coraz to kubek lodowatej wody na głowę mi wylewa swoją tu obecnością i zamiast odpowiedzieć na hasło, moją rodzoną babą mnie straszysz. Tju, do diabła! Zdaje mi się, że długie godziny już portki na mnie się trzęsą, całe szczęście, że po pracy w domu jeszcze nie byłem i kolacji nie jadłem.



rys. J. Sienkiewicz

— Przeciwdziałanie ognia i wody hartują stal; spróbowałem tej metody na panu — inspektor, krztusząc się chichotał. No... niech mi pan wybaczysz — objawisz obu rękami ramiona cisnął „Odysa” do siebie i przeproszał.

— No, no. Nie ma czasu na guzdranie się — wyzbyszy się resztek niepokoju wysunął się z objęć „Odys”. Sądzę, koledy, że obydwa patroli na miejscu, a zatem, czas.

— W takim razie do czynu — technik pocztu objął komendę. Tylko, że pięciu, nieco za dużo nas. Zostanie może ze mną „Odys” i pan inspektor, wy zaś dwaj koledy podejdźcie gdzieś dalej i ukryjcie się w krzaczkach jako ostona. A jeśli ujrzycie, że nas tu szwabę przycapi, nie uciekajcie szosą, tylko polami wprost między ogrodzi i do miasta — doradzał, chichocząc. Następnie pochylił się, żelazne stopnie do nog przyciął i z aparatem telefonicznym na plecach, pokuszył na wierzchołek stupa. Tu, podłączawszy się do znanych mu przewodów, przyłożył słuchawkę do ucha i pograżył się w milczeniu. Po chwili, śmiejąc się, mówił:

— O ho ho, ale też nasi gduczą!

— Co takiego? — spytał zainteresowany inspektor.

— Nasi gduczą. Coraz to rochochodzą się dźwięczny, natarczywy głos wróby dla Niemców. A teraz ja włączyłem się w chór ogólny i swoją wróbie dołączę — zawiadomił stojących na ziemi i skandując jak na lekcji łaciny, do mikrofonu zaczął bucząć powoli:

„Hitler kaput! ...Hitler kaput!... sukinyń Hitler kaput!

Czy gdukanie owe uszu niemieckich doszło, nie wiadomo. Reakcji nie było. Gdy je nawet wojska okupacyjne usłyszały, uznają je chyba za bez znaczenia figiel, niedowarzonego niedorożka. Uderzywszy bowiem zniemacka długo przygotowawymi wojskami na nie spodziewający się napaści Związek Radziecki, toczyli wojnę od kilku dopiero miesięcy, odnosząc zwycięstwo po zwycięstwie, sukces po sukcesie, i wkroczywszy głęboko na ziemie rosyjskie, sądzili, że niedługo już, a dyktować będą warunki pokoju w Moskwie. Armia podziemna w Polsce organizowała się dopiero co, akty sabotażu nie zaczęły się jeszcze. Akcja „Hitler kaput” była próbą jej śmiałości, odwagi i determinacji. Mimo też pewnej nieudolności skoordynowania jej, słowa zawarte w akcji „Hitler kaput”, jakże były prozocze.

DLA SZKOLNYCH BIBLIOTEK...

Żuż ukazały się egzemplarze „sygnalne” nowego wydania książki dla bibliotekarzy szkolnych o podwójnym tytule „Klasyfikacja i katalog rzeczowy” oraz „Technika udostępniania księgozbioru w bibliotece szkolnej”.

Autorką pierwszej części tej pożytecznej książki jest kierowniczka sekcji bibliotek i czytelnictwa Centralnego Ośrodka Metodycznego Helena Falkowska. W swej pracy daje ona dużo cennych wskazówek dla nauczycieli, bibliotekarzy w szkołach podstawowych i średnich.

Swoje rozważania autorka zaczyna od przedstawienia czytelnikowi ogólnych zasad budowy katalogów rzeczowych, ich roli i znaczenia dydaktyczno-wychowawczego, następnie opisuje ich rodzaje i strukturę oraz zastosowanie w bibliotekach szkolnych i pedagogicznych.

Biblioteki szkolne są zobowiązane do prowadzenia katalogów rzeczowych według systemu klasyfikacji dziesiętnej. Trudności w tej pracy wynika najczęściej z częstych zmian na stanowisku prowadzących bibliotekę i związanego z tym braku odpowiedniego przygotowania u nauczycieli zaczynających tę pracę. Chcąc przyjąć z pomocą tym nauczycielom Falkowska daje im w następnych rozdziałach

wyczerpujące informacje o samymrów bibliotece za pośrednictwem systemu i technice klasyfikowania książek do biblioteki, a także przedstawia technikę prowadzenia katalogu rzeczowego, dając przy tym praktyczne wskazówki dotyczące zakładania i porządkowania katalogu w bibliotece szkolnej.

Oprócz tych informacji czytelnik znajdzie w pracy Falkowskiej wskazówki, jak należy układać książki w bibliotece szkolnej oraz informacje metodyczne, jak wdrażać uczniów do korzystania z katalogu rzeczowego.

Druaga część książki, której autorem jest wiyztałor Wydziału Bibliotek i Czytelnictwa Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyzszego Ignacy Jurewicz, zawiera wskazówki metodyczne dotyczące techniki udostępniania księgozbioru w bibliotece szkolnej. Po ogólnych uwagach o bibliotece szkolnej i zadaniach bibliotekarza autor podaje wskazówki, jak opracować regulamin dla korzystających z biblioteki oraz uwagi metodyczne, jak organizować wypożyczenie książek do domu (w wypożyczalni) i czytania książek i czasopism na miejscu (w czytelniku).

Warunki zmuszają bibliotekarza szkolnego do udostępniania zbioru

inne nauycieli czy wychowawców przez wypożyczenie im tzw. kompletów książek, np. do pracowni szkolnych, internatu, dla klas młodszych w szkole podstawowej, dla kółek zainteresowań itp.

Jak tworzyć takie komplety i jak je wypożyczać, czytelnik dowie się również z pracy Jurewicza.

Jedną z charakterystycznych cech różniących biblioteki szkolne od innych bibliotek jest praca bibliotekarza z aktywem. Nauczyciele bibliotekarze nie zawsze należycie doceniają i wykorzystują w swej pracy ten aktyw. Autor podaje różne formy pracy bibliotekarza z aktywem.

Pracę swą zamyka Jurewicz wskazówkami, jak należy prowadzić w bibliotece szkolnej statystykę i sprawozdawczość.

Książka Falkowskiej i Jurewicza winna znaleźć się w bibliotekach naszych szkół, w szczególności tych szkół, w których prowadzą biblioteki nauczyciele bez przeszkolenia bibliotekarskiego.

Z dużym pożytkiem dla siebie mogą je wykorzystywać również pracownicy pedagogicznych bibliotek powiatowych.

U naszych przyjaciół

ZSRR

Na Ukrainie trwają przygotowania do jubileuszu setnej rocznicy urodzin wielkiego pisarza i rewolucjonisty radzieckiego Maksyma Gorkiego, która przypada w przyszłym roku. Ostatnio powstał tam Republikański Komitet zajmujący się tym jubileuszem. Na czele tego Komitetu stanął i sekretarz Zarządu Związku Pisarzy Ukrainy O. T. Gonczar. Społeczeństwo Ukrainy szeroko zapozna się z jego bogatą twórczością oraz jego związkami z Ukrainą. Maksym Gorki gorąco lubił i wysoko cenił wielkiego syna narodu ukraińskiego Tarasa Szewczenkę. Aktywnie propagował twórczość poetów ukraińskich, m. in. Iwana Franki, Lesi Ukrainki. Szeroko znane są jego twórcze związki z ukraińskimi pisarzami. Naród ukraiński głęboko czci pamięć M. Gorkiego. Jego imieniem nazwano szkoły, teatry, biblioteki, instytu-

cje, przedsiębiorstwa itd. Wydawnictwa Ukrainy z okazji tej rocznicy wydadała szereg jego utworów, jak również prace jemu poświęcone. Zorganizowane będą przeglądy filmów dokumentalnych i oświatowych dotyczących życia i działalności wybitnego pisarza oraz pokazane będą filmy oparte na jego utworach.

W uczelniach, w szkołach i instytucjach odbędą się sesje naukowe, odczyty, wieczornice artystyczno-literackie poświęcone M. Gorkiemu.

Specjalny program publicystyczny i artystyczny związany z tym jubileuszem przygotowuje Radio i Telewizja USRR, Ministerstwo Kultury Ukrainy planuje wprowadzić do repertuaru teatrów zawodowych i amatorskich utwory M. Gorkiego.

CZECHOSŁOWACJA

We Francji przebywała na gościnnych występach Praskie Studio Baletowe, które dało szereg występów w domach kultury m. in. w Amiens, Caen, Rennes. W innym mieście francuskim Lyon przebywała Praska Orkiestra Kameralna, która wykonała szereg utworów kompozytorów czeskich, jak i zagranicznych. Występy artystów z Czechosłowacji spotkały się z gorącym przyjęciem ze strony publiczności francuskiej.

W Czechosłowacji uroczyste obchodzono setną rocznicę urodzin Jindřicha Vodka, wybitnego krytyka teatralnego, który znaczną część swego życia poświęcił sztuce teatralnej. Był on autorem wielu studiów teoretycznych z dziedziny teatru, książek i artykułów, wniósł wiele zasług do czeskiej kultury teatralnej.

Opr. HENRYK RÓG



Zdarzyły się nam w ubiegłym tygodniu trzy zupełnie dobre programy publicystyczne, co jest rzeczą na tyle nietypową, że trzeba je przynajmniej odnotować. Były to: znakomity, konstruktywny reportaż, zatytułowany bardzo prościutko „Portret miasteczka”, wreszcie odbiegający od smutnych biadoleń jak to na prowincji biednie i szaro, konfrontacje przedwojennych bezrobotnych z pozycją tychże w dniu dzisiejszym, całkiem tylko niepotrzebnie grzeszące rozchwianiem proporcji czasowych — tzn. same konfrontacje, pasjonujące i autentyczne — zbyt krótkie, rozmowa zaś z edytorami „Pamiętników bezrobotnych” — zbyt długa i stąd widzę możliwość powrotu do pierwszej i zarazem zasadniczej części tematu; i wreszcie redakcja młodzieżowa zaproponowała nam program o miłości nastolatków, przy którym na chwilę się zatrzymać godzi.

Zasiadło przy stolikach sporo bardzo młodych ludzi; zasiadła pisarka Halina Snopkiewicz i znany seksuolog — Kazimierz Imieliński. Temat brzmiał: o miłości. Mówiło się jednak o wszystkim. Wracal w dyskusji problem zaufania między dzieckiem a rodzicami, próbowało się wyjaśnić termin „szkła i chaty”, problem nagłych przyjaźni, sportu w miłości, a nawet padło słowo „zaliczanie” miłostek. Nie wiem, ile lat mieli młodzi ludzie; podejrzewam, że wszyscy z nich poznali już co to pierwsza miłość i weszli w okres dojrzałych uczuć. Nie umieli o nich mówić bez skrępowania i właściwie wy-daje mi się to i bardzo ładne, i bardzo naturalne. Ale nie umieli mówić właśnie o miłości, natomiast zupełnie swobodnie mówili im się o tym „zaliczaniu”, o seksie, o niemożności porozumienia z rodziną, przez co stwarzali wrażenie co najmniej młodzieżowych teoretyków obyczajów i program był po prostu zabawny w tych partiach.

Dobrze, że go nadano, choć tak niewiele w sumie przyniosł prawd odkrywczych. Bardzo dobrze, że się chce mówić publicznie i z taktem o uczuciach. Czy jednak ta forma, by pytać o nie młodzież na sympozjum telewizyjnym nie jest lekką przesadą? Cóż powiedzieć bowiem? To, co można powiedzieć, co da się ubrać w słowa bardzo nijakie, jałowe, co w sumie jest żadną relacją właśnie o uczuciach. Czy nie lepiej byłoby zrobić taki program bardziej kameralnie i anonimowo? Czy nie ciekawsza, a przede wszystkim mądrzejsza, wartościowsza byłaby szczerza rozmowa z dziewczyną lub chłopakiem wtedy, gdy uczucie stanowi o spokoju wewnętrznym tej dziewczyny czy chłopaka? Wtedy, gdy słowa nie byłyby deklaratywne, lecz własne? Dr Imieliński stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że nie ma zwulgaryzowanej miłości. — Czy połowa bodaj uwierzyła mu? Czy połowa bodaj nie ludzi się, że nawet ta wulgarność jest po trosze miłością, nie ekstraktem zaledwie? Temat jest rzeką — bardzo przy tym nieuregulowaną społecznie, z zaróżnieniami przez chaszcze nieumiejętności brzegami.

wydawał i gdyby jakaś sensowna gradacja wieku obowiązywała słuchaczy. Wyobrażam sobie znakomicie cykl rozmów o dojrzeniu, skierowanych nie do rodziców, lecz do młodzieży. Nie tyle może o dojrzeniu jako elemencie fizjologii człowieka; lecz o dojrzeniu psychicznym, o dojrzeniu uczuć; rozumu zatem i ducha. Jest bowiem do tej pory tak, że mówimy mądrze o młodzieży, lecz nie do młodzieży; a jeśli mówimy czasem bardzo rzadko do młodzieży, to tak jak we wtorkowym „Z domu...” mówią jej równieśnicy, nie umiając powiedzieć nic odkrywczego.

Czy to znaczy, że od pozornych pochwał przeszedł do druzgoccej krytyki? Bynajmniej. Choć to bowiem nie były szczyty mądrej pedagogiki, dobre i to, by rozzerwać ciszę na tematy obyczajowe. Dobre jako początek, jako zapowiedź, jako wstęp do cyklu młodzieżowego, który już dawno powinien wyprzeć np. jeden brodaty magazyn „Nie tylko dla pań”, gdzie przepis na ciasto i modelki z Mody Polskiej bynajmniej nie są sensownym remedium na kobiece problemy. A żeby młodzi stuchali cyklu wystarczy reklama typu boyowskiej opaski na Kartezjuszu „Tylko dla dorosłych”, strawestwana na „nie dla dorosłych”. Sądzę, że niejedna matka wychodząc z pokoju i tak przez szparę w drzwiach łowiłaby okiem i uchem odpryski publicznej gawędy na dawno nie przewietrzane publiczne tematy. Odważnej a mądrej gawędy z młodzieżą.

Anim się obejrzała i już nie starczyło miejsca dla zajęcia się „Zwykłym faszysmem” — czyli genialnym filmem Michała Róm-ma, którego wartość polega przede wszystkim na umiejętnym montażu starych kronik i dokumentów filmowych oraz na bogatym w przemyslenia, ironię, doskonałość literacką od-autorskim komentarzu reżysera. Ale po licznych recenzjach, które wędrowały po prasie filmowej i tak przecie niewiele już trzeba o nim powiedzieć.

KRYSTYNA

Gdzie jest „Mona Liza“?

Sprawa „Mony Lizy” Leonarda da Vinci, a właściwie osoby, której portret namalował genialny mistrz Odrodzenia, znów stała w centrum zainteresowania szerokiej kół naukowców i krytyków sztuki.

Jak podaje prasa angielska, Henry Pulitzer, właściciel galerii obrazów w Kensington, zapewnia z całą stanowczością, że posiada prawdziwy portret Giocondy, obraz zaś wystawiony w Luwrze nie jest portretem słynnej żony kupca florenckiego.

Pulitzer oświadczył, że obraz, którego jest współwłaścicielem, znajduje się w kasie ogniowatej pewnego banku. Pulitzer zaprosił ekspertów włoskich, kanadyjskich, amerykańskich i francuskich do Londynu. „Konfrontacja” ma się odbyć na początku przyszłego roku. Wielu znanych ekspertów i krytyków przyjęło już zaproszenie.

Swą „angielską” Monę Lizę Pulitzer odnalazł przed 30 laty i od tego czasu poświęca się całkowicie wykryciu prawdy o osobie, która pozowała do portretu Leonarda da Vinci. Obraz w Luwrze — twierdzi Pulitzer — jest dziełem Leonarda, ale przedstawia inną kobietę, nie słynną Monę Lizę. Spotkanie ekspertów i krytyków sztuki w Londynie budzi duże zainteresowanie. (Kt-PAP)



Józef Młynarski — kompozycja II „Nigdy więcej” (II Ogólnopolskie Konfrontacje Jesienne)

okretni i w surowych górach osiemnastowiecznej Szkoły”.

KONGRES KULTURY POLSKIEJ. 7-9 października 1966. **MATERIAŁY I SPRAWOZDANIA.** Red. nac. St. W. Baliński. PIW s. 520, cena 50 zł. Nakład 5287 egz.

Zgodnie z uchwałą Kongresu, materiały i dokumenty ukazały się drukiem. Wydany w czwórce tom zawiera uchwale, diariusz Kongresu, podaje skład Prezydium Kongresu, przyczyna przemówienia wygłoszone w trakcie obrad plenarnych, obrad komisji (głosy w dyskusji), apel w sprawie Wietnamu oraz spis imprez towarzyszących obradom. Staranna edycja. Stylowa czcionka.

Antoni Trębicki: OPISANIE SEJMU EKSTRAORDYNARYJNEGO PODZIAŁOWEGO ROKU 1793 W GRODNI. O REWOLUCJI ROKU 1794. Oprac. i wstępem poprzedził J. Kowceki. PIW s. 539, cena 70 zł.

W „BIBLIOTECE PAMIĘTNIKÓW POLSKICH I OBCYCH” memuar pisał na Sejm Czteroletni, związanego z Kuźnicą Kołłątajowską, a potem zajadłego konserwatysty. Wspomnienia Trębickiego są doskonałym przykładem mentalności ludzi epoki króla Stasia. Zainteresuje nie tylko historyków.

Adam Czartkowski, Zofia Jeżewska: FRYDERYK CHOPIN. Wyd. nowe uzup. s. 598, cena 50 zł.

Zofia Jeżewska pisze w posłowie, że założeniem książki było, aby „kolędzy, znajomi warszawscy, muzycy paryscy, z Lisztem na czele, krytycy, literaci — tu pierwsze miejsce oddaliśmy oczywiście pani George Sand — malarze z Eugeniuszem Delacroix na czele, uczniowie i uczennice, własnymi słowami lub w rysunkach ukazał nam Chopin w kolejnych etapach jego życia i twórczości”. Udało się.

Zygmunt Freud: CZŁOWIEK, RELIGIA, KULTURA. Tłum. J. Prokopciuk. KiW s. 375, cena 55 zł.

Po wstępie B. Suchodolskiego tom podaje następujące prace austriackiego uczonego: „Totem i Tabu”, „Przyszłość pewnego złudzenia”, „Możliwość i monotelizm”, „Kultura jako źródło cierpień”.

Mirosław Azebski: POWRÓT DO RIO. KiW s. 219, cena 18 zł.

Autor jest znanym reportażystą. „Powrót do Rio” to konfrontacja

wrażen z dwóch kolejnych podróży do Ameryki Południowej, odbytych w odstępie 10 lat. Głównymi zalecani tej książki jest zmysł obserwacyjny, zdolność kojarzenia zjawisk społeczno-politycznych z ciekawostkami i egzotyką, poparte dobrą pisarstwem. Ciekawe ilustracje.

Tadeusz Lętocha: REBUBLIKA POŁUDNIOWEJ AFRYKI — KRAJ APARTEIDU. KiW s. 304, cena 20 zł.

Po opisie kraju i ludzi autor przedstawia korzenie apartheidu, walkę południowoafrykańskiego ruchu narodowowyzwoleńczego z dyskryminacją rasową i segregacją oraz stanowisko afrykanerskich nacjonalistów.

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska: WIERSZE. PIW s. 362, cena 25 zł.

W serii „Złotej Biblioteki” tomik utworów poetyckich znanej poetki dwudziestolecia międzywojennego.

Eugeniusz Morski: KRĘGI PAJE-CZYŃ. Wyd. Poznańskie. s. 108, cena 12 zł.

Są to wiersze polskie, rosyjskie oraz przekłady z języka rosyjskiego.

Bogusław Schäffer: „MAŁY INFORMATOR MUZYKI XX WIEKU”. PWM s. 183, cena 25 zł.

Po dziesięciu latach Polskie Wydawnictwo Muzyczne wznowiło w nowym jednak opracowaniu cenny przewodnik po trudnej dziedzinie, jaką jest muzyka współczesna. „Mały informator”, który dedykuje autor polskim miłośnikom nowej muzyki, zawiera encyklopedię podstawowych pojęć współczesnej muzyki i omawia jej problemy. Druga część książki jest leksykonem kompozytorów polskich i zagranicznych tworzących od 1900 roku. Całość bogato ilustrowana zdjęciami i przykładami nutowymi.

„Informator” jest dobrym popularyzatorem wiedzy o nowej muzyce. Wymaga jednak od mniej muzycznie wyrobionego czytelnika pewnej dozy cierpliwości.

Przyświecała mi w tej pracy — pisze autor — zarówno świadomość, że zainteresowany nową muzyką czytelnik spragniony jest przede wszystkim informacją i uporządkowaną wiedzą o tym wszystkim, co jest mu współczesne, a czego nie poznał jeszcze dostatecznie, jak i pewność, że niektóre problemy nowej muzyki dojrzały do tego, by mówić o nich syntetycznie.

KSIAŻKI

Janina Broniewska: MAJE I LISTOPADY. Iskry. s. 245, cena 22 zł. Znajdą już czytelnicy dwie autobiograficzne książki tej ciekawej pisarki. Są to „Dziesięć serc czerwiennych” oraz „Notatnik korespondenta wojennego”. Wątek pierwszej z cytowanych książek kończy się na roku 1930, czasokres drugiej wyznacza tytuł.

„Maje i listopady” charakteryzują lata między 1930 a 1935 rokiem. Biorąc pod uwagę lekkość pióra autorki, warto poznać te książki.

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz: GEN. JAROSŁAW DĄBROWSKI. 1836-1871. MON. s. 185, cena 8 zł.

Znany dobrze autor, w tej książce, zalecaniej przez Min. Oświaty, przedstawia los jednego z bohaterów Komuny Paryskiej. Warta akcja.

Ray Rigby: WZGORZE. Tłum. T. Dehnel. PIW s. 258, cena 20 zł. W renumeracji KiW 12 zł.

Klub Interesującej Książki dotrzymuje słowa powiedzianego w założeniach serii. Daje ciekawe utwory literatury pięknej, krajowej i światowej. Książka współczesnego angielskiego pisarza wprowadza nas w okresie II wojny światowej do wojskowego więzienia, usytuowanego na pustyni. Niecodzienne przeżycia więźniów oraz pogłębiona charakterystyka postaci sprawiły, że powieść została sfilmowana (film wyświetlany i na naszych ekranach).

Sergio Galindo: MEKSYKAŃSKI KARNAWAL. Tłum. H. Czajka. PIW s. 144, cena 10 zł.

Mający obecnie 41 lat pisarz meksykański przedstawia w swej książce fragmenty karnawału, obchodzonego w rodzinnym mieście (uniwersyteckim) autora Jalapa. W całości łączy książkę temat miłości różnych, nieraz przypadkowych par. Współczesne i obyczajowe.

Robert L. Stevenson: PORWANY ZA MŁODU. Tłum. J. Meysztowicz. Iskry. s. 200, cena 9 zł. Wyd. V.

Dziewiętnastowieczny pisarz angielski. Na obwołanie wydawca tak rekomenduje książkę: „Romantyczna powieść o odwadze, walce na śmierć i życie na pokładzie tonącego

NA NASZYM EKRANIE

Gregory Peck

W „Działach Nawarony” oglądamy w roli Mallory'ego (autentyczne nazwisko zdobywcy szczytów, choć w filmie jest o postać wymyślona) Gregory Pecka. I kiedy na niego patrzymy, wydaje się, że dla tego człowieka czas stanął w miejscu, że od wyświetlanych przecież ładnych parę lat temu „Rzymskich wakacji” niewiele się zmienił. Ma te same młodzieńcze ruchy, szczupłą twarz, wysportowaną sylwetkę trzydziestolatka, jedynie czupryna ciut-ciut mu się przerzedziła. Panie od lat... nastu do...dziesiątce nadal nim się zachwycają, i na pewno na myśl im nie przychodzi, że ten uroczy pan, to już 52-letni profesor jednej z amery-



kańskich uczelni aktorskich, ojciec piątki rozhukanych dzieciaków (z dwu małżeństw), współwłaściciel 2 wytwórni filmowych.

Gregory Peck urodził się 5 kwietnia 1916 r. w La Yolla w Kalifornii. Po zakończeniu wstępnej edukacji rozpoczął studia na medycynie, którą zdradził następnie dla historii literatury. Nie został jednak ani nauczycielem, ani krytykiem. Był przewodnikiem dla turystów, konferansjerem na rozmaitych imprezach, a nawet modelem dla fotografów trudniących się robieniem zdjęć reklamowych. W roku 1942 rozpoczyna karierę aktorską na scenach Broadwayu (ukończył przedtem szkołę dramatyczną), a po 2 latach występuje po raz pierwszy przed kamerą filmową w „Dniach chwały”.

Odtąd staje się jednym z rokujących nadzieje młodych gwiazdów Hollywoodu i w przyszłości nadziei tych nie zawodzi. W roku 1947 po 6 nakręconych filmach jest jednym z najbardziej kasowych aktorów USA i sukces ten powtórzy w roku 1952. Mimo że wybiera w rolach, nie przyjmuje wielu ofert, gra przeciętnie w dwu filmach rocznie i popularność jego wciąż rośnie. Odnosi duży sukces w filmach Alfreda Hitchcocka „Urzeczona” i „Akt oskarżenia”, rola w filmie Kazana „Umowa dżentelmeńska” („Gentleman's Agreement”) przyniosła mu nagrodę Oscara.

W Polsce zobaczyliśmy go bodaj w roku 1959 w „Rzymskich wakacjach”. Film miał ogromne powodzenie, podbiła w nim serca widzów Audrey Hepburn, ale i Gregory Peck jako jej partner spisał się świetnie i zyskał sobie olbrzymią sympatię. Ugruntował ją później następnymi filmami: „Śniegi Kilimandżaro”, „Moby

Dick”, „Rocznik”, „Biały Kanion”, „Jak zdobyto Dziki Zachód”, „Zabić drozda” (nagroda za najlepszą rolę męską na festiwalu w Cannes w 1963 r.), „Ostatni brzeg” i innymi.

Gregory Peck jest amantem, ale amantem szczególnego rodzaju. Nie narzuca wizerunku swojej urody, jego grę cechuje opanowanie i powściągliwość. Sympatię widzów i swoje ekranowe partnerki zdobywa szlachetnością, spokojem, rycerską, opiekuńczą postawą i postępowaniem.

Na taki właśnie obraz aktora składa się nie tylko jego sylwetka, ale i staranny pod specjalnym kątem obmyślany dobór ról. Peck ma ich w swoim dorobku mnóstwo: grał nauczycieli dziennikarzy, księży, oficerów, ale zawsze były to postacie pozytywnych bohaterów. Zasadą aktora było unikanie ról „czarnych charakterów”, choć pozostania w pamięci widza jako ktoś sympatyczny, bliski, może nawet trochę zabawny czy niezdarny, ale w odpowiednich momentach energiczny, zdecydowany i dzielny.

Kreował Peck np. kowbojów, ale nigdy nie były to ciemne typy czy ofemy. Jedynie w „Białym Kanionie” początkowo tworzy postać odmienną, człowieka sympatycznego, lecz trochę ślamazarę. Ale to tylko chwyt. Kiedy trzeba, potrafi być męski i odważny, potrafi walczyć i to skutecznie.

Choć Peck dba o to, by się nie powtarzać w swoich rolach, choć tworzy postacie o pewnych wspólnych cechach, wnosi do każdej coś innego, nowego, buduje swoją kreację odmiennie i z różnych elementów, to jednak niektórzy krytycy zarzucają mu jednostronność, uważają, że nazbyt obnosi się ze wszystkimi pozytywnymi cechami swoich bohaterów. Wybór należy jednak do artysty. Być może, kiedyś zechce stworzyć coś innego, przeciwnego poprzednim kreacjom, ale nawet, jeżeli przy nich zostanie to i tak jego obecność na ekranie da widzom wiele zadowolenia.

(Sz)



Adolf Bukowy — kierownik ZDK w Sarzynie

rys. J. Sienkiewicz

Kalman Segal

Miłość Sokratesa Kropki

Agnieszka była milcząca i skupiona — kochała powagę i ciszę, jaką roztaczała wokół siebie. Beatę ubóstwiał za to, że była lekkomyślna i szczebiotliwa jak ptaszek. Cecylia była inna — miała oczy niebieskie, a włosy jak len. Dorocie oddał serce za jej urodę Cyganki — miała czarne włosy jak heban i oczy jak węgle. Poślubił jednak Eulalię, pracowitą i pedantyczną. Zdradził ją — z Filomeną, która była uosobieniem lenistwa i lekkomyślności. Po czym uzyskawszy rozwód, połączył się legalnie z Genowefą, szczupłą i jadowitą jak osa. Był jej wierny aż do grobowej deski. Pochowawszy ją jak należało, znalazł pocieszenie u Herminy, bujnej i krągłej jak kwiat nenufaru. Potem miał jeszcze przelotny romans z Izabelą, która była głupia i z Julią, która słynęła z mądrości.

W tym miejscu urywa się kronika miłosna pana Sokratesa Kropki. Pewnej nocy zabił na Mleczną Drogę, upił się serwatką i spadając z nieba utonął w przerębli.

WIDOKRĄG ODPOWIADA

ANONIM Z KROSNA: Nie wiemy co bardziej podziwiać — prymitywizm i nieudolność tej rymowanki czy zjadliwość dono-

su. Jeśli Pan musi pisać anonimy (odradzamy), to niech Pan nie pisze ich wierszem i to tak okropnym wierszem.

K. L. MONASTERZEC, POW. LESKO: Pani się myli. Ten wiersz nie jest w stylu „szaniewszczyzny”, gdyż Szaniawski, to znakomity pisarz. To jest styl „częstochowszczyzny” i dlatego nie skorzystamy.

Kazimierz Chyla

FRASZKI

SPRZECZNOŚĆ

Nie zawsze gaże
z rozumem w parze

POBOŻNY KOCIAK

Co dzień przekracza
kościelny próg,
i szuka wzrokiem
ś. Jzic młody bóg.

O ŻŁOTEJ MŁODZIEŻY

Rewelacji nie odkryje,
trudna jest, bo łatwo żyje.

MOŻLIWOŚCI

Najwięcej wariantów,
przy robieniu kantów.

O SERCU

Serce nie sługa,
gdy trafi się druga.

FORMUŁA

Dla wielu jest darem
nieba;
przynajmniej myśleć
nie trzeba.

UCIECHY

I te najłodsze w życiu
gorzknieją po dłuższym
użyciu.

O KOPNIAKACH

Lubi się kopniaki
niektóre,
zwłaszcza,
podrzucające w górę.

NAGROBEK KARIEROWICZA

Usypano mu grób,
z widokiem na żłób.

Z GASTRONOMII

Pieczeń, że nie zje pies,
a kategoria „S”

KORZYŚĆ

Damskie kreacje tanieją
pomału,
coraz mniej na nie trza
materiału.

GWÓZDZ PROGRAMU

Nie zawsze dobrym
gustom sprzyja,
choć widza do krzesła
przybija.

Z ŻYCIA

Wyznawanie odmiennych
racji,
nie sprzyja stabilizacji.

WZGLĘDNOŚĆ

Nie wszędzie huk roboty,
gdzie głośno biją młoty.

NARODOWA SŁABOŚĆ

Gdy stawiają cokół,
pełno chętnych wokół.

ŻYCZENIE BIUROKRATY

Gdyby tak można pozbyć
się natręta,
do akt odłożyć wniosek
i petenta.

ZDARZENIA TYGODNIA

Mieszkańcy Mielca mają okazję przeżyć część wydarzeń, jakie rozgrywały się 50 lat temu w ogarniętej rewolucją Rosji. Wyjaśniamy od razu, że chodzi tu o treść powieści Mikołaja Ostrowskiego „Jak hartowała się stal”, przeniesioną przez zespół teatralny Zakładowego Domu Kultury WSK w Mielcu na scenę, z okazji 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

Tego niełatwego zadania podjęła się przy pomocy członków zespołu, reżyser Elwira Turska, wkładając wiele wysiłku, by jak najlepiej odtworzyć na scenie klimat zawarty w klasycznej już powieści Ostrowskiego. Ze wybór był trafny, świadczy o tym zawsze zapewniona widownia i dyskusja, jaką wywołuje spektakl nie tylko wśród młodzieży, ale i dorosłych.

Tym razem koncert zorganizowany przez Państwową Filharmonię im. Artura Malawskiego w Rzeszowie miał nieco odmienny charakter. Jednym słowem, 15 bm. odbył się koncert muzyki baletowej. Orkiestra pod dyrykcją Tadeusza Chachaja wykonała tańce symfoniczne, S. Rachmaninowa, Szecherezadę Rimskiego-Korsakowa i Bolero Ravela.

Atrakcją koncertu była niewątpliwie popularna z występów w telewizji para baletowa Opery Gdańskiej Alicja Bonińska i Janusz Wojciechowski, którzy wykonali utwory do muzyki baletowej Chopina, Gounoda, Borodina i Czajkowskiego.

W województwie rzeszowskim w ostatnich latach notuje się stałą tendencję wzrostu ruchu turystycznego. W związku z tym zachodzi konieczność stalego zwiększania liczby przewodników i organizatorów turystyki w zakładach pracy. I dlatego też Zarząd Okręgu PTK w Rzeszowie, aby sprostać wzrastającym zadaniom prowadzi szeroko zakrojoną akcję szkoleniową. Np. w obecnym sezonie jesienno-zimowym w Łańcucie i Krośnie odbywają się kursy przewodników, a kurs organizatorów turystyki zorganizowano w Nowej Dębie. Natomiast potwierdzeniem zainteresowania naszym regionem jest kurs przewodników po naszym województwie, zorganizowany przez Międzyuczelniany Oddział PTTK i Radę Okręgową ZSP w Lublinie.

Czytelnicy rubryki łatwo mogli zauważyć, że odnotowujemy każdą inicjatywę placówek k. o., zmierzającą do podnoszenia kwalifikacji kadry oświatowej i działaczy kulturalnych. Czynniki to po prostu dlatego, by wykazać duży wysiłek i nie mniejsze nakłady finansowe, przeznaczone na tę akcję.

Ostatnio np. w WDK odbyło się seminarium dla instruktorów PDK, ZDK, POIM i członków dyskusyjnych klubów filmowych, poświęcone kinematografii polskiej i radzieckiej. Zajęcia te zakończyły cykl szkolenia rozpoczętego na początku br., które obejmowało zagadnienia kinematografii światowej. O randze zajęć może np. świadczyć fakt, że jednym z prelegentów był znany krytyk filmowy dr Jerzy Plażewski z Warszawy.

Jeśli poruszyliśmy powyższy temat, to nie można również pominąć zakończenia cyklu rejonowych szkoleń aktywu rad społecznych klubów „Ruch”. Zakończyły go zajęcia w Stalowej Woli i Jaśle. O podobnych w innych rejonach województwa pisaliśmy oddzielnie.

W Krakowie odbył się 10 bm. IV Krajowy Zjazd Związku Teatrów Amatorskich, w którym wzięła udział 7-osobowa grupa delegatów z woj. rzeszowskiego, wybranych podczas zjazdów powiatowych.

W skład Zarządu Głównego Związku wszedł ponownie prezes Zarządu Wojewódzkiego ZTA w Rzeszowie Franciszek Rzepiela.

Warto również podkreślić, że materiały zjazdowe wysoko ocenili pracownicy rzeszowskiego oddziału, który zaliczony jest do czołowych w kraju.